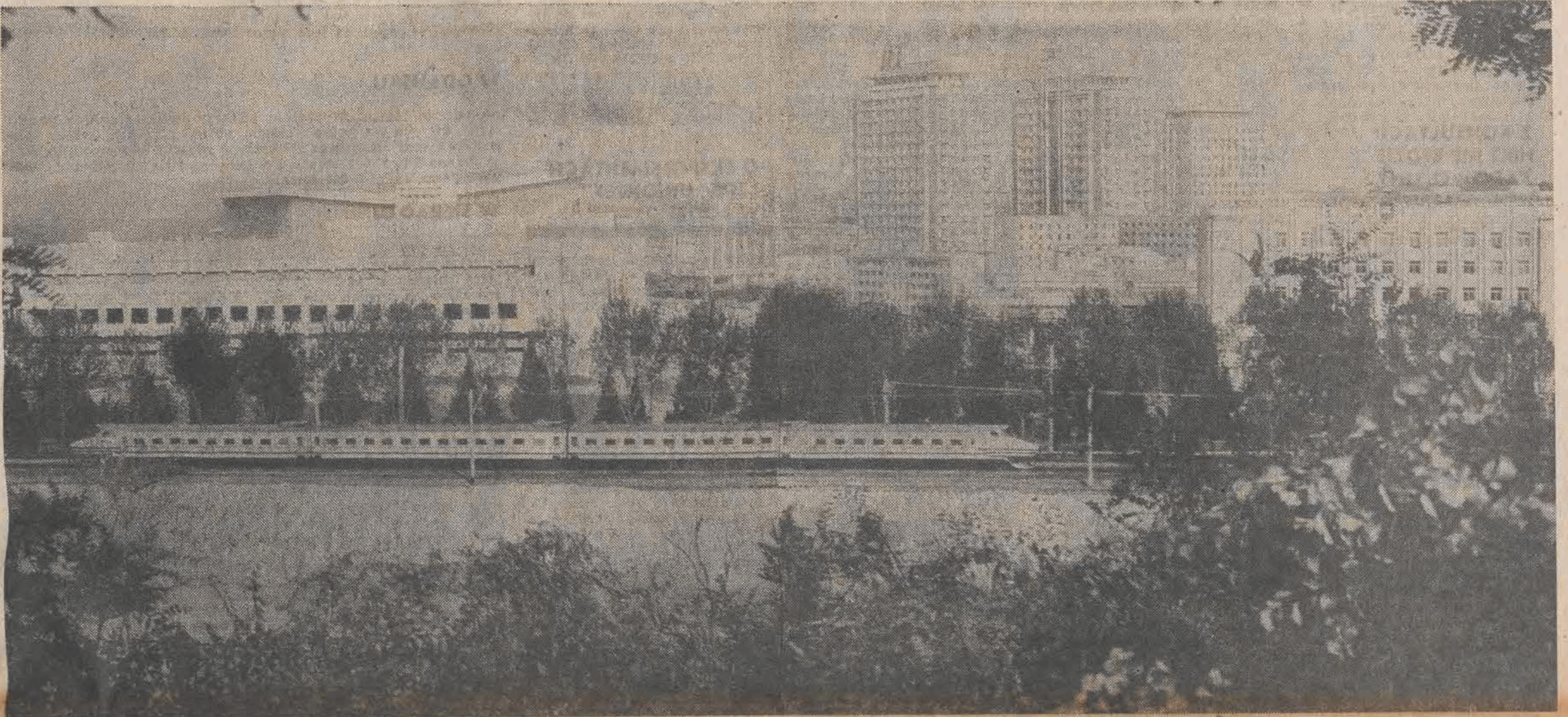


Lódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 42 (1333) ROK XXVI 15 PAŹDZIERNIKA 1983 ROKU CENA 15 ŻŁ

- To był słuszny wybór
- Społeczno=etyczne dylematy reformy ● Na cały zegar
- Kontrrewolucja seksualna
- Mętna woda ● Pieśń śmierci
- Ankieta SF= ostatni raz!



Piękny kraj pracowitych ludzi

Rozmowa z TADEUSZEM CZECHOWICZEM

Z okazji obchodów 35 rocznicy powstania Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej przebywała w Korei polska delegacja, której przewodniczył członek Biura Politycznego KC, I sekretarz KŁ PZPR — TADEUSZ CZECHOWICZ. Zwróciliśmy się do Tadeusza Czechowicza z prośbą

o podzielenie się wrażeniami z podróży do Korei.
— Zastanawiałem się nad tym — powiedział na wstępie rozmowy Tadeusz Czechowicz — co mógłbym powiedzieć na temat naszego pobytu w Koreańskiej Republice Ludowo-Demokratycznej. Nasza delegacja — poza udziałem w uro-

czystościach — miała do spełnienia poważną misję polityczną i dyplomatyczną. Przeprowadziliśmy niezmiernie ciekawe i istotne rozmowy; będą one miały wpływ na dalsze stosunki gospodarcze i kulturalne między oboma naszymi państwami i narodami. Wyniki tych rozmów wymagają kolej-

nych ustaleń, a poza tym dotyczą dwu stron, dlatego nie chciałbym o tym mówić.
— Wizyta w tak odległym i mało u nas znanym kraju dostarczyła niewątpliwie różnych wrażeń, przeżyć i spostrzeżeń. Sądzę, że one mogłyby być przedmiotem naszej rozmowy.
— Owszem, o tym możemy

porozmawiać. Ale z tym zastrzeżeniem, że moje spostrzeżenia, obserwacje i wrażenia należy traktować inaczej niż relacje ludzi, którzy problemami tego kraju zajmują się systematycznie i głęboko. Są to spostrzeżenia człowieka, który w Korei był krótko, sporo wprawdzie zobaczył i został zaskoczony tym, co zobaczył.
Zacznę od tego, że już sama podróż była niewątpliwie bardzo atrakcyjna. Lecieliśmy przez Moskwę, Nowosybirsk, Irkuck do Phenianu. Lecieliśmy nad Syberią, Chinami i Koreą. Korea jest krajem górzystym, pełnym potoków, strumieni, rzek i jezior. Zajmują one około 80 proc. powierzchni, a ziemie uprawne około 20 proc. Mówię cały czas o Koreańskiej Republice Ludowo-

-Demokratycznej. Piękne malownicze krajobrazy.
— Skończyła się jednak podróż. Samolot wylądował w Phenianie. Jakże były pierwsze wrażenia?
— Zaskoczenie. Phenian okazał się pięknym, nowoczesnym miastem. Pamiętamy przecież, że był prawie całkowicie zniszczony w czasie wojny w latach pięćdziesiątych. Dziś jest to miasto o szerokich ulicach, przestronne, wybudowane z rozmachem i perspektywą. Dobra komunikacja. Po wiem tylko tyle, że Phenian ma nowoczesne metro.
— Możemy pozazdrościć.
— Trzeba jednak pamiętać, że Koreańczycy to wszystko, co dziś posiadają, osiągnęli własną,

12

Miejsce literatury i powinność pisarza

DYSKUSJA REDAKCYJNA

Odpowiedzi na pytanie o miejsce literatury w życiu społeczeństwa i narodu zmieniają się wraz z upływem czasu, inaczej mówiąc — wraz z przemianami, którym nieustannie podlega życie. Jakże jest jej miejsce w chwili bieżącej? Po odpowiedzi zwróciliśmy się do grona ludzi pióra, którzy przyjęli zaproszenie do redakcyjnej dyskusji. Spośród łódzkich pisarzy, którzy weszli w skład reprezentacji miejscowego środowiska na ogólnokrajowe forum, wzięli udział w naszej rozmowie: Tadeusz Chrościelewski, Edward Szuster, Jerzy Wawrzak i Jerzy Wilmański, ponadto uczestniczyli w niej pracownik naukowy Katedry Literatury, Teatru i Filmu Uniwersytetu Łódzkiego — Grzegorz Gazda, redakcję zaś reprezentowali: Jerzy Kwieciński, Karol Stryjski i Lucjusz Włodkowski. A oto przebieg rozmowy.

Redakcja: — Proponujemy, aby hasłem wywoławczym naszej wspólnej tu rozmowy i głównym jej tematem było miejsce literatury pięknej w życiu Polaków oraz — co się z tym wiąże — rola czy też pozycja pisarza, przede wszystkim dzisiaj, ale może i wczoraj. Z pewnością wypowiedzi Panów złożą się na przybliżony obraz sytuacji, pozwolą wyprowadzić też jakieś choćby skromne wnioski na przyszłość, może w postaci wskazania dla polityki kulturalnej państwa, po to, by literatura za funkcjonowała nam z pożytkiem dla ogółu i ku moralnej satysfakcji pisarzy.

E. Szuster: Nie ukrywam, że miałbym kłopoty z zdefiniowaniem pojęcia literatury, myślę, że można mówić raczej o zbior-

rze niezależnych od siebie wartości, które trudno scalić w jedno. Ponadto trzeba mieć na uwadze, że literatury nie tworzą jakieś formalne grona, lecz po prostu każdy pisarz niejako z osobna.

J. Wilmański: Propozycja redakcji zabrzmiała nieco górnolotnie, ponieważ można ją było odczytać jako zaproszenie do rozważań o samych tylko artystycznych czy filozoficznych przesłankach rozwoju literatury, a tymczasem do jej funkcjonowania niezbędne są środki techniczne i materialne, ważne są więc możliwości wydawnictw, w tym także poligrafii, a wreszcie udział środków przekazu w prezentowaniu samej literatury i opinii o literaturze. W tym ważną rolę odgrywają radio i telewizja, a właśnie w tych dziedzinach sytuacja literatury jest niepomysłna i trudno ocenić, w jakim kierunku się w najbliższym czasie potoczy. Baza jest dziś uszczuplana, obserwujemy np. niepokojące zjawisko likwidowania redakcji literackich w radio i Tv, co oznacza ograniczenie możliwości promowania spraw literatury. Najogólniej mówiąc, jest to sytuacja magmy, w której grzęzną także same środowiska literackie. Sądzę, że w naszej rozmowie możemy co najwyżej spróbować określić punkt, w którym się znajdujemy.

G. Gazda: Literaturę, moim zdaniem, należy widzieć w podwójnej perspektywie — samej twórczości... oraz tego, co określamy jako życie literackie, mając na myśli m. in. instytucje, czasopisma, cenzurę, związki twórcze, a także krytykę literacką. Otóż sądzę, że instytucje życia literackiego nie spełniają ocze-

kiwań od kilkunastu lat i nie wypełniają swoich zadań. I tak np. prawie nie funkcjonuje krytyka literacka z prawdziwego zdarzenia, a ponadto istnieje głęboki rozłam pomiędzy krytyką tzw. akademicką a pragmatyczną działalnością recenzencką, która jest środowiskowo-grzesznościowa, partykularna, nie zawiera tym samym żadnych wskazówek dla odbiorcy o wartości dzieła. Tymczasem krytyka uniwersytecka przez swoją hermetyczność i ucieczkę od wartościowania nie tworzy dialogu pisarza z krytyką. Dyskutując więc o literaturze powinniśmy najpierw zastanowić się nad tym wszystkim, co stanowi o jej kryzysie. Na życie literackie ma wpływ również polityka kulturalna. Z tym, że od razu trzeba zastrzec, iż żadne ustalenia podjęte na naradach, odprawach nie mają większego wpływu na literaturę.

J. Wilmański: Nawiązując do przedmowy powiedziałbym jednak, że jest wiele perspektyw ujmowania zagadnień literatury, np. rola i znaczenie polskiej literatury na tle innych, itp.

J. Wawrzak: Na wstępie sformułowałbym pogląd, iż warunkiem właściwego funkcjonowania literatury jest uformowanie się sytuacji społecznej i politycznej w naszym kraju. Przez te ostatnie lata twórcy byli pod wieloma presjami, pod bardzo silnym naciskiem z różnych stron. Opozycja stała się w tym okresie inicjatorem tzw. drugiego obiegu. Powstawała literatura, tworzona naprzód, na doraźny użytek. Równocześnie chciałbym dodać, iż na normalizację naszego życia, tak jak wszyscy, mają również wpływ środowiska twórcze. Po drugie, sądzę, iż musi dla twórców wynikać coś z faktu, że żyjemy i tworzymy w kraju socjalistycznym. Odnoszę czasami wrażenie, że od szeregu już lat niektórzy nie potrafiają z tego wyciągnąć żadnych wniosków. Konstatacja tego typu, pozornie banalna, winna być wynikiem dyskusji, stać się elementem życia literackiego, a nie walki politycznej z jednej strony lub administracyjnych nakazów z drugiej. Jako środowisko nie powinniśmy być w tych sprawach bierni i neutralni. Przydałoby się też trochę konsekwencji: jeśli zwalczam to państwo, to nie wyciągam do niego ręki o wsparcie. Albo jeśli wstępuję do związku zawodowo-twórczego, to nie podejmuję walki, żeby go przekształcić w partię polityczną. Trochę wstyd o tym mówić, ale przecież tak było.

8

fragmenty: „Zołnierzu Polski! Aż tu do nas przenikła wieść o czynach polskiej dywizji im. T. Kościuszki. Walka o wolność ukochanej Ojczyzny rozpoczęła się. Radośnie napelnia się serce i budzi nadzieja powrotu do kraju. To Twoje dzieło, Zołnierzu Polski! Byłabym szczęśliwa, gdybym mogła uściskać Twoją dłoń i podziękować za to, że krwią swą torujesz nam drogę powrotu do rodzinnego domu. Przekleły wróg odebrał nam wszystko, co było drogą naszym sercom. Los rzucił nas daleko od miejsc, gdzie spędziliśmy najlepsze lata i dni. Nasi bracia i bliscy męczą się w niemieckiej niewoli. Na Ciebie patrzą nasze stęsknione oczy, od Ciebie czekamy zbawienia, bij wroga, bij się mężnie. Do widzenia, życząc dużo sił i wytrwania w naszej świę-

około 12 000 samochodów, ogromne ilości amunicji, materiałów pędnych, żywności i umundurowania. Wprawdzie w 1944 r. klęska Niemiec hitlerowskich była już przesądzona, ale dla narodu polskiego nie było rzeczą obojętną czy faszyzm niemiecki zdławiony zostanie miesiąc wcześniej, czy później. We władaniu okupanta znajdowało się jeszcze 80 proc. terytorium państwa polskiego z 15-milionową ludnością. Tam było 80 proc. naszego majątku trwałego. Każdy dzień wojny pochłaniał przeciętnie życie około 3 000 Polaków, z tego 80 proc. ginęło w masowych egzekucjach i hitlerowskich obozach śmierci. Każdy dzień, który przybliżał koniec wojny i okupacji, oznaczał życie tysięcy Polaków. Tymczasem wyzwolona część kraju tzw. „Polska Lubelska” obejmowała zaledwie 20 proc. obszaru Polski z 5,5-milionową ludnością, zniszczoną działaniami wojennymi i grabieżą przez okupanta gospodarką. Nie brakowało jedynie ludzi o gorących sercach, którzy nie

Na ziemiach zachodnich osiedliło się 200 tys. zdemobilizowanych żołnierzy i ich rodzin Saperzy 1 i 2 armii rozminowali i oczyścili z min do 1948 r. ponad 3 mln ha ziemi, około 100 tys. km dróg, ponad 8 tys. km torów kolejowych, 2500 mostów i około 15 tys. miast i osiedli. Żołnierze zniszczyli blisko 15 milionów sztuk min i pocisków artyleryjskich oraz ponad 60 mln sztuk innej amunicji. Rewolucyjnym przemianom towarzyszyły strzały reakcji. Ludowe Wojsko Polskie, spełniając ważną rolę w odbudowie gospodarki walczyło również aktywnie o utrwalenie młodej władzy ludowej. Pod koniec 1945 r. działało w Polsce około 300 różnych oddziałów reakcyjnego, zbrojnego podziemia, które wynosiło około 150 tys. ludzi, w tym ponad 15 tys. przypadło na bandy UPA. Do likwidacji ich skierowano znaczną część jednostek Wojska Polskiego. Były to czasy w których z życiem faktycznie igrał każdy, kto opowiadał się po stronie nowej władzy. Zwolennicy starego po-

NASZE LUDOWE

To był słuszny wybór

tej walce o wyzwolenie” — kończy Irena Sakowska.

Za wykonanie bojowych zadań na froncie walki z najeźdźcą niemieckim i okazaną przy tym waleczność i męstwo Prezydent Rady Najwyższej ZSRR w dniu 11 listopada 1943 r. ogłosił dekret przyznający najwyższe radzieckie odznaczenie Order Lenina. Otrzymał je gen. Z. Berling i jego zastępca ds. polit. wch. płk W. Sekorski. Tytuł Bohaterów Związku Radzieckiego nadano pośmiertnie kpt. Wł. Wysoczkemu i sierzni A. Krzywoń. Łącznie ponad 500 żołnierzy i oficerów udekorowanych zostało wysołkami odznaczeniami bojowymi polskimi i radzieckimi.

To radziecka pomoc ideowo-moralna, materialna i kadrowa zdecydowała że 1 Dywizja Piechoty im. T. Kościuszki mogła tak szybko przekształcić się w korpus i dojść do kraju jako 100-tysięczna armia. W chwili wyzwolenia przez Armię Radziecką pierwszego skrawka ziemi polskiej, Krajowa Rada Narodowa podejmuje 21 lipca 1944 uchwałę o utworzeniu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego i powołaniu do życia — na bazie Armii Polskiej z ZSRR i Armii Ludowej jednolitego Wojska Polskiego.

Ogłoszenie Manifestu PKWN i powstanie Wojska Polskiego było decyzją przełomową, dającą właściwy początek do decydującego etapu walki o odbudowę państwowości polskiej, o pełne narodowe i społeczne wyzwolenie. Dorobek wojskowy na jaki zdobyło się młode państwo ludowe w okresie od lipca 1944 do maja 1945 r., zważywszy na niezwykle trudne warunki, można uznać za imponujący — sformowanie 400 tys. lądowej armii.

W toku wojny rząd Związku Radzieckiego w ramach pomocy przekazał do dyspozycji Wojska Polskiego, m.in. 700 tys. karabinów i pistoletów maszynowych, ponad 15 tys. ciężkich karabinów maszynowych i moździerzy, 3500 dział, 1000 czołgów, 1200 samolotów,

zważając na trudności uruchamiania przemysłu, odbudowywali gospodarkę i garnęli się do wojska, by bić wroga. Rozbite niemieckie faszyzmu i uratowanie ludzkości od niewoli i biologicznej zagłady, okupione zostało ofiarą 20 mln żołnierzy i obywateli radzieckich, ponad 8 mln żołnierzy i obywateli polskich. Ogólny bilans strat ludzkich spowodowanych wojną kosztował świat 50 mln zabitych i 35 mln okaleczonych trwale z odniesionych ran.

My, Polacy, byliśmy na wszystkich frontach tej wojny, wszędzie tam, gdzie toczyła się walka z hitlerowskim najeźdźcą. Polskie regularne formacje wojskowe oraz oddziały partyzanckie toczyły walkę na terytoriach 19 państw Europy i Afryki. Masowo uczestniczyliśmy w europejskim ruchu oporu i w walce w okupowanym kraju. Jest niespotykane wprost, by podbity naród zmobilizował do walki blisko 2 mln swych obywateli. W końcowym etapie wojny walczyło w szeregach regularnych formacji wojskowych 600 tys. żołnierzy polskich, z tego 400 tys. walczyło w szeregach Ludowego Wojska Polskiego, a 200 tys. w polskich formacjach na Zachodzie. Związki operacyjne Ludowego Wojska Polskiego stanowiły główną siłę narodu polskiego walczącego z hitlerowskimi Niemcami. Z całej koalicji antyhitlerowskiej jedynie żołnierz polski — obok żołnierza radzieckiego — uczestniczył w szturmie stolicy III Rzeszy — Berlina, nad gruzami którego powiewał zwycięski biało-czerwony sztandar zatknięty rękoma żołnierza ludowej armii. Stanowiliśmy w tej wojnie czwartą siłę w koalicji antyhitlerowskiej po ZSRR, USA i Wlk. Brytanii.

Po zakończeniu wojny przed Ludowym Wojskiem Polskim stanęły nowe odpowiedzialne zadania. Trzeba było odbudować zniszczony kraj, zagospodarować odzyskane ziemie zachodnie i północne, brać czynny udział w rewolucyjnych przemianach władzy ludowej.

rządki — jakby nie dość im było mogli, które pozostawił sobie okupant, nie ustępowali dobrowolnie. Zanim przegrali, posłali do grobu dziesiątki tysięcy ludzi. Na szacunek i pamięć zasługują ci wszyscy, którzy w trudnych dniach nie ułękli się walki o nową ludową Polskę. Nie zabrakło również żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego w wielkich kampaniach politycznych, w czasie referendum i wyborów do Sejmu Ustawodawczego.

Od początku istnienia Polskiego Ludowego wojska pełni ważną funkcję instytucji wychowującej młode pokolenie, podnosi poziom wiedzy politycznej i zawodowej żołnierzy, kształtuje postawy obywatelskie, uczy patriotyzmu i internacjonalistycznej wiary.

Nasze narodowe dzieła sprawiły, że rodowód Polski jest w istocie także rodowodem żołnierskim. Wojna, walka o wolność stały się nie tylko fragmentem ojczyźnych dzieł Polaków, ale także żywą treścią ich rodzinnych kronik, pamiątek, pozólkłych powstańczych opasek, poszarpanych żołnierskich rogatywek czy krzyży wojennego męstwa, przekazywanych pokoleniom jak dziedzictwo.

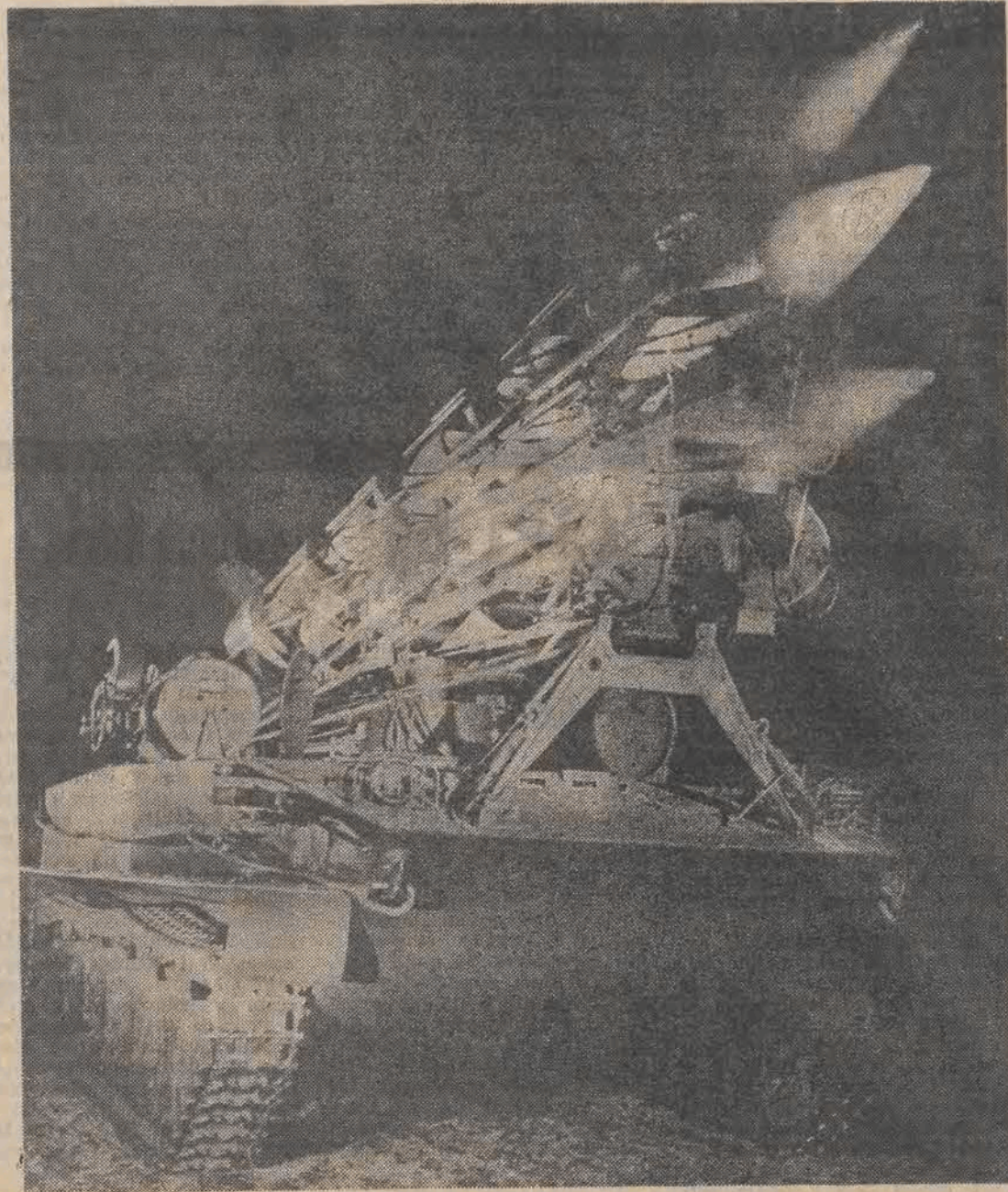
Więź wojska z narodem wyrosła z czynu zbrojnego o wolność i z pokojowej pracy. Byli i są zawsze i wszędzie tam, gdzie powstaje społeczna potrzeba. Co roku opuszczają wojsko tysiące rezerwistów o wysokich kwalifikacjach, specjalistów poszukiwanych przez przemysł. Wojsko, doskonaląc i umacniając swą zdolność i sprawność bojową, pracuje zarazem na rzecz naszej gospodarki.

Gen. armii Wojciech Jarużelski stwierdził: „Braterstwo broni z Armią Radziecką, sojusznice więzi państw Układu Warszawskiego, to historyczny dorobek naszej armii i naszego narodu, to fundament bezpieczeństwa i pokojowego rozwoju socjalistycznej Polski. Ludowe wojsko jest spadkobiercą zbrojnego czynu wielu żołnierskich pokoleń. Niepodległe, suwerenne państwo jest wielkim, ciężko okupionym dobrem naszego narodu. By było lepsze, trzeba je naprawiać. Ale nie wolno, by wróg je spychał z socjalistycznej drogi, osłabiał i burzył”.

Z szacunkiem wspominamy weteranów wojny wyzwoleniczej spod wszystkich znaków bojowych. Żołnierzy jednostek regularnych i partyzanckich, uczestników ruchu oporu i tajnego nauczania, obrońców i powstańców Warszawy, bohaterów białoruskich pól i libijskich pustyń, Wału Pomorskiego i Atlantyku, zdobywców Berlina i Monte Cassino, saperów i lotników, dzielne fizyki i sanitariuszki.

To dzięki nim mogliśmy się znaleźć w gronie zwycięzców. Tym, którzy w walce o wolną Polskę oddali swą młodość i zdrowie, winniśmy dziś hold, wieczną pamięć, lecz i chwilę głębszej refleksji.

HENRYK DOBIEGAŁA



Przysięga żołnierzy 1 Dywizji Piechoty im. T. Kościuszki, Sielce nad Oką, 15 VII 1943

Bigos hultajski

POLAK W PIEKLE

Dziwny to naród ci Polacy, nawet sam władca piekielny nie byłby dla przedstawicieli tej nacji, o czym dowodnie przekonuje Sadok Barącz w zbiorce „Bajki, fraszki, podania, przysłowia i pieśni na Rusi” (Lwów 1886):

Lucyfer lustrując piekło, spostrzegł człowieka w rogatywce z wasem sierdystym i miną junacką, który w kącie jakiejś babie szepotał coś do ucha. „Hej! służba, co to za jeden?” „To Polak” — odezwała się służba. „Precz mi z tym urwytem, abym go tu więcej nie widział, nie potrzebuję rewolucji w piekle!”

UCZNIOWSKA WYMÓWKA

Był czas, gdy uczniów nazywano studentami, ale kto by pomyślał, że znane powiedzonko „paluszek i główka to szkolna wymówka” ma swoją poetycką interpretację, której wyraz znajdujemy w osiemnastowiecznym „Kalendarzu polskim i ruskim... na rok 1757”:

Gdy profesor do szkoły iść „cznia niewoli,
Ten rzecze: iść nie może, bo go głowa boli.
Nie wiesz, szkolna to panów studentów
wymówka,
Gdy ich brzuszki, paluszki lub też boli główka.

MONIUSZKO NA CENZUROWANYM

Niedoszły kleryk zakonu dominikanów, w niedalekiej przyszłości utalentowany aktor scen warszawskich Józef Cybulski (1840—1912) namówił w 1858 r. na kolejne po prapremierze przedstawienie „Halki” swego starszego wujaszka, zakonnika z tegoż samego klasztoru. Podobała się zarówno opera, ale...

„Jedno mam tylko za, że i nie do przebaczenia, to temu pięknemu młodemu paniczowi, dla czego taką krzywdę wyrządził biednemu dziecku? Bo jeżeli już do tego doszło, to, panie odpuść, powinieneś się z nią być ożenić, a nie dopuścić do ostatecznego jej upadku, a nawet i śmierci! Inaczej powinna się być zakończyć, a nie tak boleśnie i z hańbą dla szlachcica! A przecież był Polakiem, jak widać to było po jego pięknym ubraniu (...)

A w końcu dodał, że rad by poznać tego szlachetnego Moniuszka, aby mu poradził, żeby na drugim przedstawieniu „Halki” koniecznie wynagrodził zrażoną krzywdę dziewczynkę i ożenił z nią szlachcica.

SZEWczyk-CHWAT

Ukazała się na piętnastoletnie Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki w nakładzie zaledwie 300 egzemplarzy 12-stronicowa broszurka, zawierająca Adama Korczyńskiego fraszki dotąd nie wydane, ze wstępem doc. dra Rafała Leszczyńskiego. Adam Korczyński, poeta z przełomu XVII i XVIII w., był autorem fraszek i to na tyle swawolnych, że dopiero teraz znalazł się odważny wydawca reszty piśmienniczego dorobku Korczyńskiego. Broszurka, istny specjal bibliofilski, zawiera ilustracje Romana Dzierżawy i Pawła Grabarczyka. A oto, uczciwszy oczy czytelnika odnotowujemy jedną z fraszek Korczyńskiego, w nadziei, że kol. M. K. na któreś kolejne lecie Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki ujawni wreszcie legendarną już bibliofilską publikację.

Miarę biorąc na trzewiczki
Szewczyk pannie do prawiczki
Sięgnął. Owa w pysk szewczyka:
Nad kopyto niech nie tyka.

OZDOBA TWARZY, POKRĘTNE WĄSY

Was sumiasty stanowili zawsze ozdobę męskiej twarzy, dodawali jej powagi, a były czasy, gdy brak wąsów dowodził zniewieściałości. Ale bywały wąsiska wyrost fenomenalne, o czym snadnie przekonanie się można z „Notat zmarłego przyjaciela szkolnego” (Lipsk 1858) piera Stanisława Cholewickiego:

Rotmistrz Radwański miał w czarny, ale jakiej? Tradycja o takim wascie za bajeczna by teraz może uszła, lecz to istna prawda, że wasy tego rotmistrza spuszczały się naprzód do dołu, potem prostym jak wąż bo każde ucho, ukazywały się na jaw czarnymi kosmykami. Raz jeden tylko w życiu widziałem dłuższy łuszcze was w kościele katolickim w „etersburgu Władysławem jego był pan Mozarowski, quondam takoz porucznik kawalerii narodowej, przjechał do stolicy dla swojej jakowejś tam sprawy, był wielki bogomolca, a że miał podczas sumy, nie bacząc jakis sąsiad, stojąc obok leżącego, przyjechał mu wassa, a kiedy się pan porucznik Mozarowski protestował przeciw takiej niesforności, to sąsiad nierychło zrozumiał o co rzecz idzie sądząc, że on stoł tylko na jakimś odrywku szuby niedźwiedziej.

POETYCKIE POLEMIKI

W 1807 r. ukazał się przekład dramatu Racine'a „Berenika, królowa Palestyny”, dokonany przez wileńskiego grafomana Jana Ignacego Molla. Wkrótce po Wilnie zaczął kursować złośliwy czterowersz innego rymopisa Walentego Zambrzyckiego, wyszydzający niefortunnego translatora:

Na tłumaczenie „Bereniki”, tragedji Rasyna przez Molla
Taka rzecz ludzkich dola,
Nic nie uniknie zniszczenia,
Mimo wieków poważenia,
Znalazł Rasyn swego Molla.
Trafi chciał, że i Zambrzycki upodobał sobie twórczość francuskiego dramaturga, decydując się na spolszczenie innej jego tragedji i oto w 1809 r. pojawił się w wileńskiej księgarni Józefa Zawadzkiego „Brytannik. Tragedya J. Rasyna w pięciu aktach z francuskiego wierszem polskim przełożona przez Walentego Zambrzyckiego”. Cóż za radość dla spostonowanego antagonisty? Natychmiast chwycił za pióro, od czci i wiary odsadzając kolego po półroce:

Na tłumaczenie „Brytannika”, tragedji Racina przez Zambrzyckiego
Brytannik w francuskim stroju,
Był od wszystkich powożany,
Ale po polsku wzebrany,
Nie wart stać i w przedpokoju.

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA



Emilian Kamiński

Foto: Jacek Linke

„The Fantasticks” kameralny musical czy wprawki sceniczne do aktorskiego dyplomu?

W warszawskim Teatrze „Ateneum” grany jest musical „The Fantasticks”, importowany do nas z samego serca musicali, rewii, show, teatrów muzycznych, czyli ze Stanów Zjednoczonych. Podobno „The Fantasticks” osiągnął na terenie Ameryki Północnej i Południowej oraz w Europie ponad tysiąc przedstawień, zaś w Nowym Jorku nie schodził z afisza od 1960 roku. Twórcy musicalu to Tom Jones i Harvey Schmidt, którzy razem pracują od czasów studiów w University of Texas. Adaptację „Romantycznych” Edmonda Rostanda pt. „The Fantasticks” wystawiono najpierw jako jednoaktówkę w Bernard College 3 sierpnia 1959 roku. Premiera pełnospektaklowej wersji odbyła się 3 maja 1960 roku w Sullivan Street Playhouse w Nowym Jorku.

W programie teatralnym czytamy, że Tom Jones i Harvey Schmidt są zwolennikami prostoty w teatrze musicalowym. — Jestem przekonany — mówił Jones — że im prościej, tym lepiej. Zbyt często w przedstawieniach wkłada się wielki wysiłek w uzyskanie efektów scenicznych, które nie wywołują prawdziwego oddźwięku emocjonalnego. Uważam, że właściwie słowa i muzyka potrafią oddziaływać silniej, niż najwymyślniejsze rozwiązania scenograficzne.

Twórcy polskiej wersji: Kazimierz Piotrowski (przekład libretta) i Wojciech Młynarski (przekład piosenek) oraz reżyser i choreograf całości Jagienka A. Zychówna zaufali oryginalności. Na scenie oszczędna, funkcjonalna scenografia (Marcin Stajewski), dwa krzeselka, szafa z rekwizytami, lina i... zespół muzyczny pod kierownictwem Tomasza Bajerki. W prologu HENRYK GŁĘBICKI (Niemowa) w iście musicalowym stylu i z dużym wdziękiem wprowadza nas w meritum sprawy.

Romantyczna para młodych ludzi: Matt (absolwent college'u) MICHAŁ BAJOR i 16-letnia dziewczyna Luiza (TATIANA KOŁODZIEJSKA) kocha się, ale ich ojcowie (Bellomy — HENRYK MACHALICA i WICKLEBE — MARIAN KOCINIĄK) wnieśli pomiędzy domaję mur,

przez co uczucie młodej pary ma posmak miłości zakazanej. Jednak ojcowie tylko udają wrogów, bo ich intryga jest tak ukartowana, żeby dzieci kochały się i w przyszłości związały się węzłem małżeńskim. Aby uczucia Matta jeszcze bardziej scementować, jego ukochana Luiza zostaje niby porwana. Sprawa zostaje ujawniona. Mur zostaje zburzony. Młodzi patrzą na siebie jakby bar dziej krytycznie, zauważają wady... W rezultacie Matt ucieka w świat, a Luiza wdaje się w romans z cynicznym młodzieńcem. Ale, że w każdym musicalu lub operetce wszystko zwykle dobrze się kończy — chłopak wraca i młodzi ponownie stają naprzeciw siebie... wiedzac, co stracili. Wszystko kończy się happy endem.

W trakcie tej bardzo blądzej historii oglądamy popisy wokalistyczne aktorów i aktorek. W dniu oglądania przeze mnie przedstawienia (20 września br.) debiutowali w stałym już zastępstwie w rolach Matta i Luizy: MICHAŁ BAJOR i TATIANA KOŁODZIEJSKA. Jeszcze trochę stremowani, niepewni w sytuacjach, ale wybraniający się ostatecznie: Tatiana Kołodziejska — młodociana i wdziękami, a Michał Bajor — talentem aktorskim, wokalnym, tanecznym. Henryk Machalica i Marian Kociniak w rolach Ojców z nonszalaną sceniczną grą swoje role, choć do zagrania mają niewiele. Bohdan Eymont i Jarosław Kopaczewski (Henry i Mortimer) w rolach musicalowych bliźniów bawią publiczność. Ale prawdziwą gwiazdą i bohaterem spektaklu jest EMILIAN KAMIŃSKI w roli El Gallo, w której jest animatorem — prezentem całości, postacią sceniczną. Kamiński bravurowo tańczy, wykonuje zadania akrobatyczne (gwiazda, szpagat, stanie na rekach, głowie, wiszenie na linie nad sceną itp). Jest go wszędzie pełno, w całym teatrze (od balkonu do proscenium). Nawet gra na kongach w zespole muzycznym i śpiewa. I to jak śpiewa. Próbkę jego możliwości wokalnych mieliśmy okazję usłyszeć w „Gali operowej” w łódzkim Teatrze Wielkim. Kamiński bije na głowę zawodowych śpiewaków i piosenkarzy! Dla jego popisu aktorsko-wokalno-tanecznego war-

to wybrać się do „Ateneum” i zobaczyć tego aktora w blądostwie scenicznej, która zwie się musicaliem. Publiczność warszawska zachęcona zwodniczym tytułem i reklamą, szukająca zabawy, uśmiechu w teatrze odwiedza „Ateneum” tłumnie, bilety są wysprzedane na miesiąc naprzód. Ale z teatru publiczność wychodzi rozczarowana. Ani sympatyczne dla ucha piosenki, ani młodzi, pełni wdzięku wykonawcy, ani nawet renomowani twórcy amerykańskiego musicalu i sprawdzeni, polscy ich tłumacze, nie są w stanie dać nam posmaku prawdziwego musicalu, którego w ogóle tu nie ma, bo pojęcie kameralnego musicalu jest nam raczej obce, nieznanie. „The Fantasticks” nie jest również komedią muzyczną. Jest gatunkiem nieokreślonym, tak jak nieokreślonym jest to warszawskie przedstawienie.

„Gdy żyć wciąż trudniej,
gdy srożyć się grudnie,
gdy żyje się pod włos, pochylto,
wspomnij, zaśpiewaj,
jak w słońcu dojrzewał
złocisty kłos, wrzesniowa
miłość”.

Z wrzesniowej miłości, o której mówi musicalowa piosenka, miłości po amerykańsku w polskim wydaniu na scenie Teatru „Ateneum” mogą czerpać korzyści przede wszystkim studenci studiów aktorskich, ucząc się na tym materiale jak śpiewać, grać, być w muzycznym przedstawieniu. Ich pracę powinna jednak oglądać co najwyżej publiczność na dyplomowym przedstawieniu. Na profesjonalnej, renomowanej scenie powinno wystawiać się jeżeli już musicala, to z prawdziwego zdarzenia, tylko od czego mamy teatry muzyczne?

BOHDAN GADOMSKI

Teatr „Ateneum” w Warszawie — „The Fantasticks” — Tom Jones i Harvey Schmidt reż. i choreogr. Jagienka A. Zychówna. Prapremiera polska — czerwiec 1983 r.

Kronika kulturalna

W TEATRZE NOWYM odbędzie się w najbliższym czasie premiera „Rodziny” Antoniego Slonimskiego w Dużej Sali.

„Rodzina” Antoniego Slonimskiego powstała pod koniec dwudziestolecia międzywojennego. Zawiera ostre, dowcipny i wyjątkowo złośliwy rozrachunek z ideologią faszystowską. Spektakl wyreżyserował gościnnie w Teatrze Nowym Edward Dziewoński, scenografię wykonała Iwona Zaborowska. Grają: Hanna Bedryńska, Janina Borońska, Elżbieta Jasińska, Krystyna Tolewska, Ludwik Benoit, Adam Gwara, Piotr Krukowski, Marek Lipski, Bogusław Mach, Dobrosław Mater, Stefan Niemierowski, Wojciech Pilarski, Remigiusz Rogacki, Marian Stanisławski i Stanisław Szymczyk.

1 PAŹDZIERNIKA br. odbyła się w sali „Textilimpexu” inauguracja roku akademickiego 1983/1984. Wykład inauguracyjny wygłosił prof. dr hab. Józef Matuszewski „Dzieje i losy polskiego chama”.

6 PAŹDZIERNIKA br. w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. L. Waryńskiego odbyło się seminarium poświęcone dwudziestolecu działalności Dzielnicowych Bibliotek Publicznych. Referat wygłosiła mgr Izabela Nagórka.

Jednym z laureatów jest Miejska Biblioteka Publiczna im. L. Waryńskiego, Bibliotece został przyznany Medal Komisji Edukacji Narodowej. Wyręczony on został na ręce dyrektora biblioteki mgr Elżbiety Cieplichy.

W WARSZAWSKIEJ „Zachęcie” czynna jest wystawa „Wojsko Polskie w plastyce”, zorganizowana z okazji 40-lecia Ludowego Wojska Polskiego.

Miło nam poinformować Czytelników, że wśród laureatów wyróżnionych na tej wystawie znaleźli się także łodzianie. I tak: w dziedzinie malarstwa nagrodzono Wiesława Garbolinskiego, wyróżnienie otrzymał Kazimierz Kędzia, nagrodę specjalną przyznano pośmiertnie Benonowi Liberskiemu.

W ŁODZI pod patronatem Stowarzyszenia Artystycznego powstał kabaret „Myślę”. Twórcami kabaretu są: Kajana Jerzykowska i Zbigniew Wojciechowski. Aktorami są pacynką poruszane rękami Jana Tomasza Pieczatkowskiego, Tomasza Pietrasika i Włodzimierza Wdowiaka. Odbyła się już premiera. Przedstawiono 70—80 minutowy spektakl. O jego wartości artystycznej wypowiedzą się recenzenci. Reżyserem spektaklu jest Tomasz Pietrasik, autorem scenografii — Maria Kozłowska, muzykę zaś przygotowała Małgorzata Kamińska.

W WARSZAWSKIM teatrze „Rozmaitości” 8 b.m. odbyła się interesująca premiera. Wystawiono tam sztukę „Mały Książę” Antoine de Saint-Exupéry'ego zaadaptowaną przez Marka Kmiecńskiego i Adama Ziemianina. Sztukę reżyserował Marek Kmiecński.

Gra czwórka aktorów: Barbara Dembińska, Andrzej Ferenc, Jerzy Mazur i Wojciech Oseko, którzy występują w blisko dwudziestu rolach i śpiewają co najmniej drugie tyle piosenek do muzyki Henryka Mosny. Scenografię, iście bajkową, zaprojektował Tadeusz Smolicki.

W WARSZAWIE, w klubie MPiK na Nowym Świecie została otwarta wystawa „Kultura dla pokoju”, przygotowana przez Sekretariat Międzynarodowego Stowarzyszenia Kultury Europejskiej (SEC), przy współpracy władz Wenecji, gdzie miłośnicy się siedziba Centrali SEC. Wystawa składa się z dokumentów obrazujących ideę powstania organizacji skupiającej pisarzy, artystów i uczonych ze wszystkich stron świata; poszczególne etapy jej działalności związane z tworzeniem warunków dla swobodnego rozwoju kultury. Obok dokumentów eksponowane są numery czasopisma SEC „Compendro”, ilustracje do tekstów — dzieła wybitnych twórców m.in. Picassa i Chagalla oraz listy do SEC, pod którymi widnieją podpisy m.in. Brechta, Corbousiera, S. Becketta i innych. Osobne miejsce poświęcono aktywnej działalności polskiego ośrodka SEC. Otwarcia wystawy dokonał prezydent SEC Giuseppe Galasso.

Podróż rozpoczęliśmy 4 maja 1983 r. docierając zaledwie do Katowic, aby tam dopiero, przed wyruszeniem do granicy, odebrać paszporty. Spora niespodziankę zgotował nam celniczy sprawdzający wszystkim komplet bagaży z przeglądaniem kalendarzyków, notesów i kontrolami osobistymi włącznie. Najwyraźniej nowe przepisy nie zezwalają na różnicowanie wycieczek turystyczno-handlowych od wyjazdów do pracy, przysparzających krajowi cennych dewiz. Słowacy natomiast, przed przekroczeniem granicy austriackiej, ograniczyli się do nakazu zdeponowania czeskiej korony, oraz... pozbawienia zarostu kilku z naszych muzyków.

W granicznym Tarvisio ze zdumieniem spoglądamy na stojący obok wóz Pekaesu z naszymi instrumentami. Zamiast o dobę wcześniej od nas wyjazdu, wskutek „operatywności” dysponenta własnej instytucji, obaj kierownicy opuścili Polskę dzień po nas jadąc kilkadziesiąt godzin bez przerwy.

W SŁONECZNEJ ITALII

Po noclegu w Rovigo czwartego dnia podróży wita nas gościnne, pełne zabytków, okolone wzgórzami Arezzo — rodzinne miasto reformatora notacji muzycznej Guida. Spokój pięknego starego miasta z bazyliką, katedrą i malowniczymi strzemiłami uliczkami zakłócają szalejąca na japońskich motocyklach piraci drogowi.

W znanej już naszym filharmonikom z poprzednich wizyt sali „Teatro Petrarca” Marek Pijarowski inauguruje tournée uwerturą do „Lohengrina” Wagnera, V Symfonią Beethovena, oraz II Koncertem d-moll Wieniawskiego z Krzysztofem Jakowiczem, który, podobnie jak i orkiestra, bisuje dwukrotnie. Po paru taktach Mazura z „Halki” nieoczekiwane brawa na moment zagłusza muzykę; prawdopodobnie tuż przed światną publicznością koncertowa rozpoznała utwór grany tu przed paru laty przez Iodzia od batutę Z. Szostaka. Podobnie gorąco przyjęła drugi bis — Legjinkę z baletu „Gajane” Chaczaturiana z rewelacyjnym perkusistą Andrzejem Zatką.

Po dwudniowej podróży do Messyny, zakończonej przeprawą promem w deszczu i chłodzie, czeka nas nagroda: nareszcie luksusowy hotel „Paradis” nad samym morzem, którym, niestety, nie cieszymy się długo, bowiem już po dwu godzinach wyruszamy na próbę i koncert do odległego kościoła św. Franciszka. Cała Messyna — dosłownie oblepiona gigantycznymi afiszami zapowiadającymi występy Iodzia. Afisze takich rozmiarów, prawie trzymetrowej szerokości ponaklejane jeden obok drugiego czynią duże wrażenie.

Podobnie jak w Arezzo — komplet publiczności, a Zdzisław Szostak poza Wagnerem prowadzi symfonię „Z Nowego Świata” Dworka, po której następują dwa bisy. Krzysztof Jakowicz narzeka na ogromny pogłos kościelnego wnętrza, który istotnie nie przysłużył się finałowyemu Koncertowi Wieniawskiego.

W KRÓTKICH SPODENKACH...

Po zakwaterowaniu w podłym, znanym nam już hotelu „Centrale” w Palermo wracamy niedawno przebytą drogą do Cefalu. Autokary, które nas tam dowiozły po godz. 19 nie były w stanie zmieścić się w jakiegokolwiek z wąskich uliczek prowadzących do katedry, w której atrium miał się odbyć występ Iodzia. Podczas 300-metrowego spaceru na miejsce mijaliśmy liczne afisze anonsujące koncert o godz. 18.30. Po dotarciu do katedry zdumienie nasze wzrosło, kiedy okazało się, że zaledwie część instrumentów dowiozono mini-cieciarówką, kursującą wielokrotnie do portu, gdzie zaparkował nie mogący się również zmieścić w miasteczku wóz-magazyn. Dostarczenie kompletu ubiorów dla orkiestry opóźniło koncert dodatkowo o dwie godziny, toteż zapada decyzja: muzyki grają w strojach „cywilnych”. Taką historią nie przydarzyła się jeszcze łódzkiej orkiestrze. Program (ten sam co w Messynie) niekierujący muzyki grali w krótkich spodenkach, a Marek Pijarowski stanął na dyrygenckim podium w białych dżinsach i plażowych klapkach na stopach.

Nowoczesna sala „Teatro Golden” w Palermo, budowana z przeznaczeniem na kino, a obecnie adaptowana na siedzibę orkiestry symfonicznej, usytuowana jest trzy piętra pod ziemią. Dzięki temu nie docierają tu żadne hałasy, mimo, że teatr znajduje się przy ruchliwej, jednej z elegantszych ulic centralnych Palermo.

Po raz pierwszy na tym tournée gra Koncert b-moll Czajkowskiego Urszula Mitrega, która dołączyła do nas w Palermo, bezpośrednio po występach w Lyonie — tam w charakterze wybitnej mezosopraniarki. Artystka z powodzeniem walczy z wrakiem fortepianu i chłodem publiczności abonamentowego koncertu. Również po raz pierwszy rozbrzmiewa Adagietto z „Raju utraconego” Pendereckiego, niewiele mówiąca o znakomitym twórcy 5-minutowa miniatura włączona do programu na żądanie włoskiego impresaria.

W Catanii, wolnej ponoc od wpływów sycylijskiej mafii, Iodzia grali po raz pierwszy w swych włoskich wozach. Jest to, zdaniem wielu z nas, najprzyjemniejsze obok Cefalu miasto Sycylii, chociaż i tutaj zdarzają się scenki raczej niespotykane w środkowej Europie: vis a vis Teatru Metropolitan — miejsca występu Iodzia — na jednej z głównych ulic obserwujemy starego, nieco zwanego mężczyźną załatwiającego w biały dzień na chodniku obydwie swoje potrzeby fizjologiczne. Nie wzbudza to niczyjzego oburzenia, przechodnie mijają go bez cienia jakiegokolwiek reakcji...

Koncert z VII Symfonią Prokofiewa kończy sukces największy z dotychczasowych, a Szostak z orkiestrą bisuje dwukrotnie, podobnie jak i Jakowicz po świetnym Wieniawskim.

U STOP ETNY

Okolo północy, podczas autokarowej wspinaczki do hotelu, nagle oczom naszym ukazuje się widok, jakiego nie zapomni do końca życia: czarne niebo z zatartym konturem góry rozświetla gigantyczne, purpurowe pęknięcie. Nasze przerażenie pogłębia się z minuty na minutę, bowiem nieprzerwanie zbliżamy się do upiornej, czerwono fosforyzującej rysy. Jak zahipnotyzo-

wani wpatrujemy się w to rozwarłe piekło pełni obaw, czy uda się nam choć na chwilę zasnąć tej nocy w hotelu położonym najbliżej wulkanu, wśród wyludnionych domostw, hotelu, w którym prócz nas i paru zagranicznych dziennikarzy mieszkają tylko włoscy saperzy i komandosi, trzymający w pełnym pogotowiu na wypadek ponownej erupcji Etny. Od jednego z dziennikarzy dowiadujemy się o planowanej na jutro eksplozji, mającej „otworzyć” górę wysokości prawie 3300 m z innej strony, aby płynąca lawa przestała zagrażać Catanii.

Po długim nocnym czuwaniu, słuchając przeraźliwego wycia okolicznych psów, oddychając powietrzem cuchnącym żużlem, oliwami i siarką, z bólem głowy i oczami utkwionymi w potworny, spływający z nieba czerwony jezior — z ulgą opuszczamy Nicolosi, aby już w odległej Isernii dowiedzieć się z prasy, że eksperyment na Etnie miał miejsce 14 maja o 4.09 nad ranem i powiódł się zaledwie w 23 proc.

Letniskowa Isernia upamiętni się nam przede wszystkim dzięki sukcesowi orkiestry i Pijarowskiego w Dworzaku. W drodze do L'Aquilli

ANNA IŻKOWSKA-MIRONOWICZ

Sześć tygodni w autokarze

zespół składa bukiet biało-czerwonych goździków na polskim ementarzu na Monte Cassino w 39 rocznicę bohaterstwa i tragicznych wydarzeń.

TYSIĄC KM DO HISPANII

Po czterech godzinach snu ruszamy w ponad 1000 km trasę brzegami Adriatyku, wzdłuż Apeninów północnych, potem Autostrada Słońca, oglądając z okien autokarów San Remo, Monaco, Nicea, Cannes, aby wrócić po 16 godzinach jazdy wypocząć w nowotłowym „Ibisie” w Aix-en-Provence. Ponieważ dwa pojazdy z kierownictwem spóźniają się, rozdzielam pokójów sprawnie pokierował Krzysztof Jakowicz — świetny kolega i znakomity towarzysz podróży — któremu następnego ranka zgotowaliśmy prawdziwą owację w podzięciu za dłuższy o beczenną godzinę sen.

Tuż przed wyruszeniem w dalszą drogę zapada ugragniona przez czterech obywateli decyzja, aby mikrobus wraz z nim zjechał nieco z trasy w stronę Avignonu do znanej w świecie wytwórni stroików pana Francois Aliaud. Cała czwórka możnolnie oszczędzała liry, aby w efekcie za własne pieniądze kupić ponad 7 kg starannie wysortowanych stroików najwyższej klasy. Czym to jest dla nich i dla Filharmonii — nie trzeba wyjaśniać.

Tymczasem nasze autokary odwiedziły słynne Lourdes i prawie każdy z pasażerów powiekszył swój bagaż o zbiorniczek z „cudowną” wodą.

Po dość szokujących, bo niespotykanych dotąd kontrolach na granicy francusko-hispańskiej, przed pomocą „ładujemy” w pięknym, starym hotelu „Maria Cristina” w San Sebastian.

Rankiem 19 maja 1983 r. — pierwsza fatalna wiadomość: wiamanie do jednego z autokarów; złodzieje nie obwołili się, bowiem każdorazowo komplet bagaży zabieramy ze sobą do hoteli, ale wybita szymba kosztowała ponad 100 dolarów. Druga wieść jest bardziej bulwersująca: wóz Pekaesu z instrumentami i frakami nadal stoi na granicy z powodu strajku celników francuskich. Uziemieni przez cały dzień w hotelu czekamy na wiadomość z granicy. Impresario pan Federico Sanz proponuje, aby zamiast koncertu symfonicznego odbyły się dwa półrecitale naszych solistów, na co oboje ku naszemu zdumieniu przystają zabierając się do przygotowywania programu.

Półtorej godziny przed koncertem świta jakaś nadzieja na otwarcie granicy dla wozów ciężarowych. Wreszcie, na 20 minut przed zapowiedzianą porą występu filharmoników — telefon: po interwencji prezydenta miasta, szefa policji, wreszcie Ambasady PRL w Madrycie — instrumenty jadą.

Przełożenie koncertu o godzinę nie wypłynęło ani jednej osoby z szalenie wypełnionej sali „Victoria Eugenia”, znanej z organizowanych tu sławnych festiwali filmowych. Zdzisław Szostak bez próby, choćby akustycznej, wyśmienicie prowadzi V Symfonię, a Krzysztof Jakowicz fantastycznie kreuje Koncert Brahmsa, mimo iż nie grał go przed występem ani minuty przygotowując się do recitalu.

PLONACY AUTOBUS

W tym dniu jednak jeszcze nie koniec naszych emocji. Podczas wykonywania Symfonii kilka metrów od sali koncertowej podpalony miejski autobus, który ponad godzinę „plonął” ogniem sięgającym kilku pięter. Wokół teatru i niemal przylegającego doń „naszego” hotelu tłum policjantów w maskach puszcza w kierunku wojowniczych sporów grup młodych ludzi gazy łzawiące, które błyskawicznie przenikają do wnętrza teatru i hotelowych pomieszczeń. Do późnej nocy nie ustają zamieszki, a nam wypada się tylko cieszyć z deszczowej i zimnej aury, pozwalającej na sen przy szczelnie zamkniętych oknach.

Kolejne miasta występów: Pamplona z imponującą katedrą gotycką i muzeum bezcennych rzeźb romańskich, Vitoria, w której przeżyliśmy małe trzęsienie ziemi, częste ponoc w tym rejonie kraju, dwie Wyspy Kanaryjskie — rozczarowujące wszystkich, o księżycowym krajobrazie i wyschniętej roślinności Las Palmas oraz Tenerife, Salamanca z jednym z najstarszych w Europie XIII-wiecznym uniwersytetem, Valladolid — wieloletnia siedziba dworów królewskich, oraz Oviedo — to jedno pasmo niezmiennych sukcesów artystycznych i frekwencyjnych polskich muzyków. Jedyne Oviedo dysponuje własną salą filharmoniczną; wszystkie pozostałe miejsca występów Iodzia, i to zarówno w Hiszpanii, jak i we Włoszech, to albo kościoły, albo też kina-teatry, w których egzystują na równych prawach wszystkie gatunki sztuki, od filmu, kabaretu, jazzu, muzyki symfonicznej, do występów cyrkowych włącznie.

Po Oviedo — następny koncert na drugim końcu Hiszpanii w Cartagenie. Na wszystkich krótkich postojach obok stacji benzynowych królują skankani oraz pilka nożna wydobywana z bagaży muzyków (czego to ludzie nie wozą zamiast szmuglu...), pozwalająca artystom rozprostować kości i rozruszać mięśnie zmordowane wielogodzinną jazdą.

PECH I TRAGEDIA

W drodze z północy ponownie przyszło nam zanoćować w madryckim hotelu „Prawa”. I tutaj — pora na konkluzję: od początku tej monsturalnej podróży zawisło nad nami fatum. Dało o sobie znać już na granicy w Cieszynie, gdzie poddano niezbędnemu zabiegowi operacyjnemu jedną z pań z Pagartu. W Arezzo — pierwszym mieście występów — jedna ze skrzypaczek fatalnie przecięła sobie dłoń zsztyła natchnieniem przez lekarza. Wykluczyło to jej udział w koncertach na całe dwa tygodnie. W tym samym mieście pozostał w szpitalu jeden

z puźonistów poddany operacji wyrostka robaczkowego. Prezes miejscowego Towarzystwa Przyjaciół Muzyki pan Mario Bucciolotti zadeklarował osobistą opiekę nad pozostającym przez dziewięć dni w szpitalu rekonwalescentem. Konieczność zachowania ścisłej diety i trudy jazdy autokarem wykluczyły projekt zabrania muzyka na koncerty do Hiszpanii w drodze powrotnej z Sycylii.

Podczas przejazdu z Oviedo do Madrytu jednemu z kierowców spadł na kolana czajnik pełen wrzątku, powodując poważne poparzenia torsu; opatrunki były niezbędne jeszcze długo po powrocie do kraju. Dyrektor Kazimierz Mikołajczak wiele dni chodził i jeździł z grypą i bardzo wysoką temperaturą.

I wreszcie — tragedia. Po powrocie z północy Hiszpanii rankiem w niedzielę 29 maja 1983 r., w dniu opuszczania madryckiego hotelu „Prawa” znajdujemy w pokoju martwego Andrzeja Zatkę. Zmarł nagle na zawał serca. Znakomity perkusista, darzony przez wszystkich bez wyjątku kolegów sympatią, szacunkiem, przyjaźnią, człowiek biegły władający językiem hiszpańskim — odszedł od nas na zawsze w Madrycie, mieście, które ukochał bez reszty.

Po ogromnym szoku wielu z nas przepiękała całą drogę do odległej Cartageny. A tam, podczas koncertu prowadzonego rewelacyjnie przez równie jak my, wstrząśniętego Marka Pijarowskiego, postanowiono bisować tylko raz i to elegijną Etiudą b-moll Szymanowskiego. Koleśki oddali hold Zmarłemu, a wiatująca, domagająca się dalszych bisów publiczność hiszpańska nie mogła pojąć, skąd tak wiele łez na twarzach muzyków z Polski...

31 maja 1983 r. przepiękna Murcia ukazała nam najcudowniejszą z wszystkich dotychczasowych sal „Teatro Roma”. Owacje po Brahmsie Jakowicza i Beethovenie Szostaka trwały bardzo długo, ale muzyk nadal bisuje jedynie Etiudą b-moll. Nazajutrz przed odjazdem do Alicante czytamy w gazecie „Murcia” recenzję zatytułowaną: „Orkiestra z Łodzi, dyrygent i solista — genialni!”

Alicante. Nigdy jeszcze w swojej wieloletniej karierze recenzentki nie słyszałam tak fenomenalnie zagranej koncertu D-dur Brahmsa. Do Krzysztofa Jakowicza przyszedł za kulisy znakomity polski gitarzysta Maciej Oberbek przebywający od wielu miesięcy na kursie mistrzowskim u słynnego Andresa Segovii; dziękował skrzypkowi z autentycznymi łzami w oczach.

Na koncercie w Castellon triumfowała Urszula Mitrega, która rewelacyjną techniką oraz ścią hiszpańskim temperamentem całkowicie podbiła wiatującą na stojąco publiczność. Istotnie, nigdy jeszcze nie grała Koncertu b-moll tak znakomicie. Bisowała aż trzy razy i otrzymała od impresaria zaproszenie na przyszły sezon.

Podobnie jak w wszystkich miejscach naszych postojów i tutaj, w Benicasin, w pustawach przed sezonem hotelach — pełne pogotowie. W salach restauracyjnych krzątania kelnerów zerkających czujnie w stronę wyładowanych ludzi autokarów, którzy za chwilę będą przecieć ich gośćmi. A tymczasem, w kilkanaście minut po rozlokowaniu w pokojach, idąc hotelowym korytarzem można dokładnie rozpoznać menu nowych lokatorów. Nad zapachami grochówki, jarzynowej, czy pieczarkowej czadko dominuje woń smażonego mięsa, nawet z przywiezionych puszek. Wystarczyło ich na niewielką tylko część podróży.

W Walencji Zdzisław Szostak kończy swój udział w tournée świetnie zaprezentowaną VII Symfonią Prokofiewa. Akompanuje tu w Czajkowskim jednemu z czołowych pianistów hiszpańskich, muzykalnemu Mario Monreal, który wiosną zawita do Polski.

Mieszkamy w starym hotelu „Metropol” vis a vis słynnej rotundy Plaza de Toros, w której przez wieki tyle krwi popłynęło. Do pół do czwartej nad ranem trwa tam maraton piosenkarski, a my skoro świt wyruszamy do Salou. Przed wjazdem do miasta na wielokilometrowym odcinku autostrady widzimy rozstawionych co kilkadziesiąt metrów młodych ludzi z tablicami: „Wojna nuklearna — N i E!”

W Salou Iodzia zamykają trwający tu od 21 maja festiwal „Da Primavera”. Dyrygencką pałeczkę już do końca podróży przejmują Walter Hornsteiner z RFN, nie znajdujący cienia porozumienia z natchnionym muzykowaniem Jakowicza. Złaz akustykę nowo zbudowanej sali, a także brak wyrobienia muzycznego publiczności częściowo rekompensuje jedyny w całym wyjeździe skromny poczęstunek dla artystów, oraz dar organizatorów — biała statuetka Carlusa I Katalońskiego z piękną dedykacją.

PIERWSZY WOLNY DZIEŃ

Po miesiącu — pierwszy wolny od jazdy, prób i koncertów dzień spędzamy na plaży obok pięknego hotelu „Cala Font”, w którym mieszka-

my. Wszyscy łapczywie chwytają słońce przykrywając opalenizną ogromne znaczenie. Małą chmurką wspomnianego dnia było bolesne poparzenie jednego z flecistów przez wielką meduzę; ślady na ramieniu pozostały mu chyba na zawsze.

Z Salou — długa jazda do Saragossy. Tak potwornego upału jak tutaj oszczędziła nam zarówno Sycylia, jak i cała południowa Hiszpania. Po koncercie Krzysztof Jakowicz wyznał, że podczas gry stracił na moment przytomność. Bisował dla publiczności skrzypce zapożyczonej w trzepoczące wachlarze, tkwiące również i w dłoniach panów.

W Barcelonie „cieszącej się”, podobnie jak Palermo, sławą miasta złodziejskiego, mieszkamy przy słynnej z wszelakich ekscesów, a przepięknej Ramblas w ponurym hotelu „Oriente”. W Pałacu Muzyki — sali świetnej akustycznie o przedziwnie zdołowanym wnętrzu — Krzysztof Jakowicz w pięknym stylu kończy swój ostatni, osiemnasty występ w tournée. To wybitny artysta i muzyk wielkiej, światowej klasy.

Dowiedzieliśmy się, że właśnie 7.VI.1983 r. — ostatniego dnia występów Iodzia w Hiszpanii — odbył się w Łodzi pogrzeb Andrzeja Zatkę. Podczas całego koncertu jego dawne miejsce po prawej stronie w głębi estrady pokryły kwiaty.

Po koncercie, na którym Hornsteiner jako akompaniator budził jeszcze większe zastrzeżenia, doszłoby do jeszcze jednej tragedii: winda hotelowa z ośmioma osobami z naszej grupy zarwała się z wysokości prawie pierwszego piętra do piwnicy. Wszystkich wyciągnięto bez najmniejszych obrażeń, ale co by było, gdyby ateczny dźwięk ujechał dwa piętra wyżej...

W DRODZE POWROTNEJ

Obydwa tysiąckilometrowe przejazdy do Passau przedziela nocleg w Dijon, gdzie spotykamy Krzysztofa Zimmana znajdującego się obecnie u szczytu sławy światowej. Jeździ z fortepianem specjalnie dla niego zbudowanym przez Japończyków, a kontrakty ma już podpisane na wiele lat.

W ślicznym naddunajskim miasteczku Iodzia z Hornsteinerem inauguruje trwający do 23.VII festiwal „Europaëische Wochen Passau 1983”, którego organizatorem jest właśnie niemiecki dyrygent. Koncert zaszczylił honorowy gość imprezy, prezydent Austrii Rudolf Kirchschlaeger, uroczystie powitany z estrady przez Hornsteina, oraz premier Bawarii, Franz Josef Strauss. Błyskotliwą techniką znanego pianisty Cypriena Katsarisa, który, niestety, nie potrafił wydobyc z Czajkowskiego całej jego słowiańskiej rozległości, skutecznie zatuszował dyrygent, a V Symfonię, w swym nie najdoskonalszym interpretacyjnie kształcie, wzbudza nieopisaną entuzjazm publiczności niezwykle eleganckiej i wytwornej.

Podczas poprzedzającej koncert podwójnej próby (również „Stworzenia świata” na dwa ostatnie występy) mdlejąc wali się z krzesła jeden z naszych altowiolistów.

Następnego dnia przekraczamy granicę austriacką, aby w kościele miasteczka Reichersberg wykonać dwugodzinne oratorium Haydna. Obok łódzkiej orkiestry występuje znakomity chór wiedeński, z którym stale współpracuje von Karajan, oraz trójce fenomenalnych śpiewaków: Kaaren Erickson — sopran, Thomas Moser — tenor i bas Robert Holl. Walter Hornsteiner o wiele bardziej podoba się nam jako dyrygent muzyki oratoryjnej. Całość brzmi imponująco!

Podobnie należy ocenić ostatni koncert tournée odbywający się rankiem w kościele w Passau. Po przybyciu na wyznaczoną przez Hornsteina próbę stwierdzamy, że poczyniono wszelkie przygotowania do nagrania całego koncertu. 11 mikrofonów, świetna aparatura do rejestracji, stos wiodokaset i sztab ludzi mających za zadanie podczas śmiesznie krótkiej próby ustawić swoje reglery. Na sprzeciw ze strony orkiestry dyrygent odpowiada, że będzie to nagranie do jego prywatnej fonoteki. Niestety, zbyt gorące protesty i namowy impresaria Sanza budzą podejrzenia i zrozumiałe zastrzeżenia, toteż orkiestra kategorycznie żąda usunięcia aparatury nagrywającej. Nawet, gdyby zaproponowano muzykom stosowne wynagrodzenie za nagranie, to fakt nieuprzedzenia ich o zamiarze rejestracji oraz forma reakcji na zastrzeżenie zespołu przez kreśliły wszelką szansę porozumienia. Dźwiękowcy spakowali aparaturę, a Sanz z Hornsteinerem ogarnięci wściekłością nie pożegnali się po koncercie ani z orkiestrą, ani z jej kierownictwem.

JAKI JEST KOSZT TEGO TOURNEE!

W drugiej godzinie wykonywania haydnowskiego oratorium śmiertelnie błądy zszedł z estrady jeden z najmłodszych skrzypków orkiestry; miał tętno 150/min. Kto wie, co by się zaczęło dziać z ludźmi, gdyby tak przyszło im grać jeszcze dwa, trzy koncerty... Ustanowione przez nasze władze diety w wysokości niecałych dziesięciu dolarów dziennie zmuszają do prowadzenia własnej kuchni w hotelowym pokoju. Chcąc przywieźć do domu choćby te trochę kawy ludzkiej, po wyczerpaniu się puszkowych zapasów, po prostu pracują niedożywieni. Jedyne dyrygenci i solisci otrzymują honoraria, zresztą nieporównywalnie niskie w stosunku do wynagrodzeń artystów zachodnich. Tak jak to jest na całym świecie: dieta winna być przeznaczona w całości na całodzienną wyżywienie. Dlaczego więc zespoły godzą się na tak ciężką pracę za darmo? Okazało się, że wielu z uczestników wozu trzymało się do końca niejako siłą rozpędu. Choroby, rozstroje nerwowe dosięgły ich dopiero na miejscu. Jedna ósma roku poza domem, życie w potwornym tempie, ręce instrumentalistów popuchnięte od codziennego dźwigania bagaży, hotele często podłe, bez wygód, czasem i bez windy, ponad 40-stopniowe upały w autokarach pozbawionych klimatyzacji (!), jazda niemal codzienna (w sumie — 14 i pół tys. km!) — wszystko to musi skłonić do refleksji, że decyzję o tak zaprogramowanym tournée artystycznym mogli podjąć tylko ludzie pozbawieni wyobraźni...

NIEPOTRZEBNA BUDOWA — KIJ W MROWISKO

Pani Ewa Lachowska swoim artykułem w nr 34 „Odgłosów” z dnia 20 sierpnia 1983, włożyła po prostu przystawiony kij w mrowisko. Ze względu na replikę autorki w nr 40 „Odgłosów” na moje pismo opublikowane w nr 36, poczuwam się jeszcze raz do zabrania głosu w tej tak bardzo głośnej sprawie. Ma ona bowiem aspekt nie tylko społeczny, ale wg. mnie — nie zważam się tu użyć ważkiego słowa — polityczny! Budowa domu samotnych na osiedlu Retkini „Piaski” od samego początku była i jest po prostu skandalem. Budziła sprzeciw z powodu lokalizacji, budziła burzenie z powodu marnotrawstwa społecznych pieniędzy. Kto będzie płacił za zmarnowane od samego początku miliony włożone w nieprzemysłane decyzje, rozkradane materiały budowlane? Czy przypadkiem te sumy nie będą włączone w koszty ogólne Retkini, a pokryją je członkowie Spółdzielni Mieszkaniowej „Polesie” w końcowym rozliczeniu? Nie podlega zupełnie dyskusji konieczność budowania tego typu domów dla niesienia pomocy ludziom samotnym, którzy tu znaleźliby opiekę lekarską i pielęgniarstwa. Ale lokalizacja w tym miejscu na „Piaskach” nie stwarza zupełnie warunków do dobrego samopoczucia tych, którzy tu zamieszają. Na to powinien też spojrzeć Wydział Zdrowia Urzędu Miasta — lekarze, socjologzy, neurologi, akceptując tu tę budowę. Ze w tej chwili jest więcej chętnych na zamieszkanie niż tu jest miejsc — to jeszcze nie dowodzi, że nie ma problemu. Chęć tu mieszkać, bo mają może gorsze warunki w miejscu obecnego zamieszkania i obiecują sobie, że znajdą tu pomoc i opiekę. Przyszłość pokaże, czy spełnione będą ich marzenia o tak upragnionej, spokojnej starości. Oby! Ale ja, jako mieszkanka od wielu lat ul. Rajdowej, mam duże wątpliwości.

Mimo tak wielkich protestów, przede wszystkim mieszkańców ul. Rajdowej z bloków wokół niej skupionych, mimo krytycznych uwag ludzi z miasta, szczególnie po audycji telewizyjnej, mimo wahań samej Spółdzielni „Polesie”, która nie była zdecydowana powziąć ostatecznej decyzji, aby nie postępować wbrew woli tylu mieszkańców osiedla — budowę rozpoczęto, stwarzając tu koszmarnie warunki życia. Swoim artykułem p. Ewa Lachowska poruszyła głęboko tkwiący w mieszkańcach osiedla żal do władz miasta, a odwoływaliśmy się i do Rady Państwa. Nie powołano żadnej komisji na wyższym szczeblu dla zbadania sprawy. Wszelkie skargi wracały znowu tylko do decydentów, którzy niezmiennie odpowiadali o konieczności budowania w tym właśnie miejscu, uzasadniając pokrętnie swoją decyzję. Szkoda wielka, że nikt wtedy, kiedy był jeszcze czas nie chciał rozmawiać z mieszkańcami, uznając tylko zdanie przewodniczącego komitetu osiedlowego, który w naszym przypadku absolutnie nie solidaryzował się z ogółem mieszkańców, wyrażając tylko swój osobisty pogląd.

W myśl wytycznych zawartych w publikacji Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej KC PZPR z września 1977 r. „Samorząd ma statutowo zapewnić wpływ na podstawowe decyzje dotyczące osiedla... Samorząd powinien dbać o to, aby decyzje gospodarcze w maksymalnym stopniu odpowiadały rzeczywistym potrzebom społecznym... Praca samorządu musi między innymi... konkretyzować się na budowie urządzeń osiedlowych służących rekreacji i wypoczynkowi, na stworzeniu bazy dla działalności samorządu... — O ile mi wiadomo od tego czasu nic się nie zmieniło w tej publikacji, a nowe opracowanie jeszcze bardziej umacnia działanie samorządów, które są podstawą naszego ustroju.

Trudno pisać o realizacji Domu Samotnych na „Piaskach”, o którym dziś się mówi, że jest budową raczej „niepotrzebną”, nie poruszając wręcz tragicznej walki mieszkańców o ten kawałek ziemi, na którym chcieli stworzyć bazę dla wychowania licznej rzeszy młodzieży i dzieci. Pozostawiono im tu tylko ruchliwą jezdnię ul. Rajdowej, trzepaki przy świetlnikach i małą piaskownicę. Tu działają po prostu brak dobrej woli, zwyczajnie robię „na złość” dla wykazania swojej „władzy”.

Nie potrzeba przeprowadzać naukowego sondażu opinii całej dużej Retkini, aby stwierdzić, że takie domy dla ludzi samotnych są potrzebne. Natomiast zignorowanie protestu 830 mieszkańców ul. Rajdowej i Thälmann, w blokach tu skupionych wokół pustego jeszcze placu — musi budzić głęboką niechęć do władz miasta. Powinny one przede wszystkim rozmawiać z tą grupą ludzi najbardziej zainteresowanych budową, która burzyła ich życie osiedlowe. Nasza zieleni, nasze drzewka, cagle od nowa sadzone, są ustawicznie niszczone, bo gdzie ma się podziąć ta ogromna rzesza dzieci tu mieszkających. Do tych 850 podpisów na petycji składanej do władz miasta, do partii, do Spółdzielni „Polesie” należy jeszcze dodać setki tych dorastających małych obywateli, którzy tu na swój sposób protestują cagle, że zabrano im miejsce do zabaw i rekreacji.

Temu osiedlu stała się po prostu krywdą.

Stwierdzenie p. Ewy Lachowskiej, że gdyby udało się w porę zainteresować tą sprawą większą krąg ludzi i zebrać na przykład 8.000 podpisów, to wtedy władze miasta miałyby z kim rozmawiać — jest po prostu delikatnie mówiąc nieporozumieniem.

Wśród tych 850 co podpisał protest przeciw tej budowie na pewno byli tacy, ojcowie i matki rodzin, z którymi władze miasta mogły rozmawiać. Dobrze się stało, że choć w końcu rozmowa delegacji mieszkańców z wiceprezydentem miasta Z. Turwiczem, przyniosła skutek, choćby przez zmniejszenie powierzchni całej zabudowy.

Pani Ewie Lachowskiej składam podziękowanie, że swym artykułem poruszyła czynników miarodajnych, aby Dom Samotnych, budujący się już 4 rok został wreszcie zakończony w jego pierwotnym założeniu, a włożone w jego budowę miliony społecznych złotych nie były tak beztropko marnowane, jak to się robi do tej pory na tej budowie, na którą patrzają oczy mieszkańców okolicznych bloków.

Redakcji „Odgłosów” serdecznie dziękuję za udzielenie mi głosu na łamach pisma.

Z poważaniem
MARTA SOBOCKA

KAWOSZ „PRO”, HERBACIARZ „CONTRA”

Szanowny Panie Redaktorze: Serdecznie dziękuję za zamieszczenie na łamach dwóch wakacyjnych numerów „Odgłosów” dyskusji o „małej czarnej” i „metodzie”. Dyskusji — która przebiegała zgodnie z tradycyjnym usłowieciami i umiłowanym przez nas wzorem: jeden do Sasa, drugi do lasa, czyli dwóch panów — obywateli (J. S. K. i L. B.) wymienilo poglądy nie szczedząc sobie szpilek wiskianych pod paznokcie w sposób nader kulturalny, i rozeszło się, pozostając przy swoich zdaniach. Moim: że „stać nas”, i Lucjana Bogusza, że „nie stać nas”. Na widowni aplauz (ze śródka) oraz gwizdy (z prawa i lewa). A milcząca większość milczy, tradycyjnie!

Dobrze się stało, że dyskusję tę zamieścili łódzkie czyli „pro-wincjonalne” „Odgłosy”, a zlekły się jej centralne, tj. warszawskie mass-media, z TKK „Veto”, a również „Prawo i Życie” na czele. Nie masz to jak deglomeracja myśli! — chciałoby się powiedzieć, trawestując wypowiedzi i dążenia ministra Zygulskiego nt. kultury i Teatru PRL.

W sporze o „kawę” w precyzyjnym wydaniu J. S. K. i „metoda” (w tracącym demagogia wydaniu L. B.) arbitrem, jak zwykle, jest tak zwane „życie”. I to przedziej niż można się było spodziewać okazało się, że w istocie rzeczy „nie stać nas” na „herbatę, a za to „stać nas” będzie (???) — i — ???; ? bo nie

wierzył bo jednak chciałbym, aby słowo ciałem się stało) (stosunek 67:1! odbija relację rozum i doświadczenie contra wiara, nadzieja i miłość). Okazuje się oto, zgodnie z tym co pisałem w „Nad kawiarzami zmiłuj się Panie (Ministrze)”, że kawa jest najtańszym napojem (używką? — patrz wypowiedzi tkaczek łódzkich). Według wypowiedzi ministra Z. Łakomca (patrz „Veto” nr 40, 1983), na giełdach światowych aktualnie tona herbaty kosztuje tyle, co trzy tony kawy. Tona zaś kawy kosztuje tysiąc dolarów, czyli dolara za kilogram.

Proszę te relacje zestawiać z następującymi danymi:

(1) Dolar na „czarnej giełdzie” kosztuje ok. 580 zł, a w NBP ok. 95 zł.

(2) Cło przywozowe na kawę wynosi 1500 zł, tj. ok. trzy dolary „czarnorynkowe” i ok. 16 dolarów „oficjalnych”.

(3) Kilogram kawy oficjalnie kosztuje w Polsce 3 tys. 300 zł; a u agentów minimum 5,5 tys. zł. Zaś kawa typu „neska” — ok. 17 tys. złotych (patrz „Express Wieczorny — Kulisy” z dnia 10.09.1983 r., i to już po drastycznej obniżce cen o 800 zł). Ile zaś kosztuje herbata — każdy wie. „Każdy” tj. ten, kto miał szczęście trafić w sklepie na opakowanie „popularnej”, „madras” czy „gruzińskiej” (ja nie miałem szczęścia tego!), ewentualnie na opakowanie tych droższych gatunków herbaty, w celofanie i złocistymi napisami, w cenie ok. 200 zł za opakowanie.

I oto okazuje się, że dążąc za wszelką cenę do tego, aby ceny i relacje między nimi odpowiadały cenami relacjom „w świecie” — znowu postawiliśmy problem na głowie. W konkurencji stawiania spraw na głowie jesteśmy, niezaprzeczalnie, mistrzami wszechczasów. Na dowód przytoczmy fragment dyskusji za „Veto” nr 40:

„Wacław Tabencki: Będzie kawa?! To herbata jest aż trzy razy droższa?”

Zbigniew Łakomic: Tak, stosunek cen jest jak 1 do 3. W tej chwili można w Europie Zachodniej kupić kawę po ok. 1000 dol. (za tonę — wyjaśnienie J. S. K.). I to nawet u pośrednika, który przecież liczy sobie z marżą. (Uwaga: kawa nigdy nie rosła w Zachodniej Europie — przypis J. S. K.). W związku z tym będzie WYRAŻNA POPRAWA ZAOPATRZENIA W KAWĘ”.

I niech to optymistyczne (?) stwierdzenie stanie się ciałem! Pytanie tylko, kogo stać na kawę po obecnej oficjalnej cenie? Czy nie stanie się z kawą tak, jak stało się z dżemami i miodem: które zszerszoczone, zalegają półki sklepów, po tegorocznych zbiorach? (Obfitych!).

Najlepiej by było, tak się wydaje, gdybyśmy pił wódę źródłaną. Tylko: gdzie znaleźć źródła, dostatecznie oddalone od szamb, zatrujących każdą „kryniczankę” mikrobami czerwoni? Aby nie było „sporu o metodę” wyjaśnij, że czerwotka to choroba jelit. Polega ona na tym, że krew miast krążyć w żyłach i tętnicach, i odżywia mózg oraz serce, ewentualnie serce (miej serce i patrz w serce” — Wieszczy) oraz mózg — wylewa się do odbytnicy i barwi kał na czerwono.

J. STANISŁAW KNYPL

P.S.: Ponieważ chochlik drukarski (?) znajduje się pod ochroną na łamach „Odgłosów”, nie będę prostował przekłamań w swoich wypowiedziach nt. „małej czarnej”, polegającym np. na zamianie zwrotu „on by zrozumiał” na „był zrozumiał” (ja!). Niemniej sądzę, że kluczem do sprawy i spraw również metodycznych jest wymienialność słotwki i jej parytet w odniesieniu do dolara. Podaję także, że w Bułgarii kawa, sprowadzana z Wietnamu, kosztuje jedną lewą i trzydzieści stotników za 100 gram, czyli 13 lewa za kilogram. „Odgłosowy” chochlik, usuwając ten parametr 100 g wydał świadectwo sam sobie: ile warta jest dyskusja o metodzie w czasach, gdy ważniejsze są poglądy na metodę od samej metody. Co było do udowodnienia: nigdy ocena nie zastąpi cenę.

J. S. K.

CZY NAPRAWDĘ KOLEJNY NIEWYPAŁI

Krytyka kolejnego mojego artykułu pt. „304 contra piraci Atlantyku”, dokonana przez Pana Huberta Kazimierza Kujawę nie była dla mnie zaskoczeniem, ponieważ doskonale zdaję sobie sprawę, że po niefortunnej i nieudanej polemice dotyczącej poprzedniej mojej publikacji pt. „Maloletni”, każdy mój następny artykuł będzie surowo krytykowany przez tegoż Autora.

Zanim odpowiem Panu Hubertowi Kazimierzowi Kujawie na tym razem słuszną krytykę, gdyż istotnie w artykule moim znalazło się kilka błędów, wynikających nie bezpośrednio z mojej winy, a z błędów zawartych w dostępnych mi materiałach źródłowych, z których korzystałem, pragnę jeszcze raz podkreślić, że nie jestem historykiem lotnictwa, jak również nie pretenduję do takiego tytułu, a tylko popularyzuję fakty i wydarzenia lotnicze w celu doinformowania społeczeństwa, nie zawsze mającego dostęp do publikacji lotniczych, nie tylko ze względu na małą ich ilość, lecz przede wszystkim niewielkie nakłady. Nie traktuję moich publikacji jako historycznych, lecz jako ogólny zarys najciekawszych wydarzeń i faktów dziejów naszego lotnictwa, podkreślając przede wszystkim bohaterstwo, trud walki, wspaniałe zwycięstwa, jak i gorczy klęsk oraz niepowodzeń naszych lotników oraz warunki, w jakich walczyli. Staram się przy tym zachować najistotniejsze szczegóły tych wydarzeń, jak daty, jednostki bojowe, miejsce zdarzenia, a gdzie mam możliwość dotarcia do materiałów źródłowych, również niektóre dane personalne bohaterów takich, czy innych akcji, numery rejestracyjne samolotów itp., choć te ostatnie nie zawsze są ważne dla przeciętnego Czytelnika. Niestety, mam ograniczony przez Redakcję limit dziesięciu stron maszynopisu, na których nie wszystko mogę zmieścić, co ważne i niektóre wydarzenia opisać mogę tylko szczerzątkowo.

Jeżeli natomiast chodzi o materiały źródłowe, dostępne w moich warunkach, z których korzystam, przedstawiają różną wartość, ponieważ liczni autorzy publikacji, czy edycje książkowych często w różny sposób opisują to samo zdarzenie i mimo konfrontowania poszczególnych treści, trudno dociec i ustalić, które są wiarygodne.

Na wstępie swojej krytyki Pan Kujawa zbuhwersowany jest zamieszonym przy artykule zdjęciem i podpisem pod nim. Otóż zdjęcie jest reprodukcją fotografii otrzymanej od mego przyjaciela — pilota (już nieżyjącego) 304 Dywizjonu Ziemi Śląskiej. Na odwrocie podpisałem, że jest to samolot... Wellington Mk X, lecz widocznie w drukarni przez niedopatrzenie przepuścili podpis zdjęcia bez „X”. Za to niestety, odpowiadać nie mogę. Jeszcze raz przejrzałem swój artykuł, ale nie znalazłem wzmianki o tym, abym napisał, że dowódcami samolotów i załóg byli tylko oficerowie-obszernicy, o co posiada mnie Autor krytyki. Poza tym, nie ja „awansowałem” podoficerów na wyższe stopnie, lecz podałem stopnie wojskowe wyszczególnione przez autorów dostępnych mi źródeł, a nie mam możliwości ich konfrontacji z prawdziwymi stopniami.

Nadmieniam, że do konkretnej publikacji: „304 contra piraci Atlantyku” posłużyły mi różne materiały źródłowe, jak periodyki lotnicze i wojskowe, opisujące te wydarzenia, książki: plk. Wacława Króla, Władysława Leny-Kisielewskiego, Tadeusza Malinowskiego, Izzydora Kolińskiego i innych autorów, opisujących niektóre fakty w identycznym sposób. Możliwym jest, że przy sporządzaniu notatek do publikacji, odświeżałem krótki urówek, dotychczas przeniesienia dwiżjonu na lotnisko Three, z książki plk. W. Króla i pisałem artykuł nie sformułowałem tej treści w inny sposób, przez moje niedopatrzenie, ale to jeszcze nie plagiat, co zarzuca mi Pan Kujawa, ponieważ mam również o problemie powielanie innych podanych przeze mnie faktów z książki plk.

W. Króla, a przecież każdy dostrzeże inny układ zdań i trudno, aby to samo zdarzenie opisać odmiennie, chcąc zachować jego autentyczność. Gdybym cały artykuł oparł na książce plk. Wacława Króla, niewątpliwie podałbym źródło, lecz trudno wymieniać kilkanaście czy kilkadziesiąt źródeł przy artykule prasowym, czego zresztą nie uczynili nawet autorzy książek o tematyce historycznej lotnictwa, jak Izzydor Koliński, Tadeusz Malinowski, Władysław Kisielewski czy inni. Który z nich wobec tego zrobił plagiat?

Pan Kujawa pisze: „... jak za Panią Matką — Autor powtarza za plk. Królem błędne dane strat dwiżjonu”. Tym razem Autor krytyki pomylił się, bo dane te podałem z wydanej w 1978 roku przez Wojskowy Instytut Historyczny w Warszawie, książki Izzydora Kolińskiego: „Regularne jednostki Wojska Polskiego (lotnictwo)”, str. 177, które są może zbędne z danymi plk. Króla, lecz autor też nie przytacza źródła pochodzenia tej statystyki. Jak z powyższego wynika, wielu — nawet renomowanych autorów opracowań lotniczych popełniło błędy, a przecież ich edycje, wydane przez znane i szacowne wydawnictwa były z pewnością konsultowane przez specjalistów i nikt nie kwestionował nieścisłości, usterek czy błędów w nich zawartych, jak Pan Kujawa zajadło kwestionuje moje podania, do których otwarcie się przyznaję, bo nie jestem nieomylnym, za co Autora krytyki przepraszam.

Odnoszę wrażenie, że pan Hubert Kazimierz Kujawa nie tyle docieka prawdy historycznej w moich artykułach, co tzw. „dziury w całym”, aby „odegrać się” na mnie za niepowodzenie krytyki poprzedniego artykułu. Ciekaw jestem, czy Autor krytyki również tak uszczypliwie i odważnie krytykował na łamach prasy nieścisłości i błędy dostrzeżone w książkach plk. Wacława Króla, plk. Kurowskiego, plk. Królikiewicza, Władysława Kisielewskiego, Jerzego Pawlaka, czy innych autorów opracowań lotniczych?

Przed moją publikacją „Maloletni”, drukowano w „Odgłosach” pięć moich artykułów o lotnictwie, które na pewno nie były doskonałymi, ale wtedy Pan Kujawa żadnego z nich nie krytykował, choć, jak wynika z polemiki, jest stałym Czytelnikiem „Odgłosów”. Gdzie był wtedy? Dopiero po tej niefortunnej dla Pana Kujawy polemice, Autor krytyki rozpełzał burzę wiarygodności moich artykułów.

Na zakończenie muszę nieco rozczarować Autora krytyki. „Odgłosy” czyta tysiące Czytelników, a wśród nich lotnicy, którzy nie tylko, że nie mają do mnie pretensji o takie czy inne nieścisłości, lecz — jak z otrzymywanych licznych listów wynika — są wdzięczni Redakcji „Odgłosów” i mnie za popularyzowanie lotnictwa wśród szerokiego rzesz społeczeństwa, uznając moje publikacje za dobre i pożyteczne. Niestety, łatwo krytykować, ale trudniej pisać!

Przyjmę każdą krytykę moich artykułów przez Pana Kujawę, lecz nie będę z Nim polemizował, uznając sprostowania, jako uzupełnienie szczegółów historycznych do moich publikacji, ponieważ krytyka tendencyjna, wypracowana w pewnym celu nie nadaje się do polemizowania. A Panu Kujawie z pewnością zależy na tym, abym przestał pisać w „Odgłosach”, bo tylko to jest celem Jego krytyki. Nie czynię tego dla sławy, popularności, czy korzyści materialnych, ale jeżeli Redakcja „Odgłosów” i opinia publiczna pozwolą, to pisać nie przestanę, bo uważam to za swój obowiązek wobec społeczeństwa.

ZBIGNIEW JAN CHOJNACKI

NAGRODA IM. ZYGMUNTA GLOGERA

Redakcja łomżyńskiego tygodnika społecznego „Kontakty” oraz wojewoda łomżyński ustanawiają doroczną, ogólnopolską nagrodę imienia Zygmunta Glogera. Jest ona trzystopniowa, a jej laureaci otrzymują medal pamiątkowy.

Fundatorzy nagrody — w trosce o zachowanie oraz pielęgnowanie kultury staropolskiej i ludowej — znajdują w osobie, związanej z Ziemią Łomżyńską, autora „Encyklopedii Staropolskiej” doskonałego patrona, który swą pracownicę życie poświęcił ochronie i kultywowaniu naszej narodowej kultury.

„Kontakty” chcą w ten sposób uhonorować wybitne osiągnięcia w następujących dziedzinach: etnografii, archeologii, historii piśmiennictwa, językoznawstwa, kultury materialnej, muzyki, plastyki, literatury, a także dostrzec i wyróżnić animatorów życia kulturalnego.

Fundatorzy nagrody powołują Kapitułę Nagrody i Medalu. Skład jury, któremu będzie przewodniczył przedstawiciel PAN powołuje: redaktor naczelny „Kontaktów” i wojewoda łomżyński.

Nagroda imienia Zygmunta Glogera będzie przyznawana za prace naukowe i publicystyczne poświęcone kulturze staropolskiej oraz za szczególne zasługi w ochronie dóbr tej kultury.

Kandydatów do nagrody mogą zgłaszać: Polska Akademia Nauk, wyższe uczelnie, samodzielne placówki naukowe, związki twórcze, organizacje społeczne i stowarzyszenia kulturalne, wydawnictwa, czytelnicy „Kontaktów” oraz Kapituła Nagrody i Medalu.

Nadesłane prace oraz dokumenty (bez zastrzeżenia zwrotu), po rozpatrzeniu przez jury, pozostają własnością Biblioteki Społecznej Stowarzyszenia Prasoznawczego „Stopka” w Łomży.

Prosimy o nadsyłanie prac — kandydatów do nagrody (prac naukowych, publikacji, dzieł książkowych, innych publikacji, dzieł plastycznych, dokumentacji działalności) za lata 1979—1982.

Wyokość poszczególnych nagród:
I stopnia — 50 tysięcy złotych,
II stopnia — 30 tysięcy złotych,
III stopnia — 20 tysięcy złotych.

Termin zgłaszania kandydatów upływa 15 listopada 1983 r. Nagrody i medale będą wręczone w grudniu br. Zgłoszenia należy kierować pod adresem: Redakcja tygodnika „Kontakty”, ul. Świerczewskiego 7, 18-400 Łomża.

„ODRODZENIE”

W październiku ukaże się pierwszy numer „Odrodzenia”. Będzie to tygodnik, zajmujący się przede wszystkim sprawami porozumienia i odrodzenia narodowego, propagujący polityczne i społeczne treści Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego oraz odzwierciedlający jego działalność w różnych dziedzinach życia naszego kraju.

Tygodnik ruchu o masowym charakterze powinien być „pismem dla wszystkich” adresowanym do wszystkich warstw i środowisk społeczeństwa polskiego. „Odrodzenie” — sądząc z deklaracji zespołu redakcyjnego na niedawnym spotkaniu z działaczami PRON — będzie się starało przedstawiać możliwie najwierniejszy obraz życia w naszym kraju przynosząc obszerny zestaw informacji uporządkowanych, syntetycznych i przystępnie podanych oraz publicystykę prezentującą zjawiska i sprawy niezwykle interesujące polską opinię publiczną. „Odrodzenie” będzie dawać wyraz tej opinii także wtedy, gdy formułuje ona postulaty, których realizacja nie jest dla władzy łatwa; będzie stwarzało swoim Czytelnikom możliwość wypowiedziania się w sprawach publicznych, a więc wpływania w ten sposób na decyzje Rządu i styl sprawowania władzy.

W pierwszych numerach „Odrodzenia” znajdują się m.in. odpowiedzi Przewodniczącego Rady Krajowej PRON, Jana Dobraczyńskiego, na listy w sprawie dialogu z sygnatariuszami porozumień z Gdańska, Szczecina, Jastrzębia i inne listy do PRON, cykl artykułów Zygmunta Lichniaka o roli kultury w życiu narodu, artykuł Andrzeja Lewandowskiego o plusach i minusach amnestii, artykuł Aleksandra Bocheńskiego o instytucji Strażnika Praw Obywatelskich.

ciężką pracą, okupioną ofiarą krwi przelanej w wojnie z imperializmem, w obronie własnej wolności i niezależności. W licznych rozmowach, jakie prowadziliśmy w Korei, często o tym wspomniano. Koreańczycy bardzo szanują swoją historię, podkreślają, że nie była to historia łatwa, że wiele krwi przelano w walce o wolność i niezależność kraju w różnych okresach dziejów. Podkreślano również, że Polacy mają podobną, pełną walki o wolność historię.

— Można z tego wnosić, że sporo o nas wiada.

— Istotnie. Takie odniosłem wrażenie z odbytych rozmów. Poza tym pamiętają o polskich lekarzach, którzy w latach pięćdziesiątych spieszyli walczącej Korei z pomocą, a i później pomagali Koreańczykom w odbudowie zniszczonego przez wojnę kraju. To się w Korei pamięta i ceni. Koreańczycy podkreślali, że myśmy też mieli trudności, że kraj też podnosił się ze zniszczeń, ale pospieszyliśmy im z internacjonalistyczną, braterską pomocą. O tym się nie zapomina.

— Korea miała trudną historię, broniła swej niezależności przed imperialistyczną agresją, ale i obecna sytuacja Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej nie jest łatwa. Kraj jest podzielony. Czy są jakieś szanse na zjednoczenie? Jak to widzą sami Koreańczycy?

— Zaczęło od tego, że byłem w Phenmundżonie, gdzie rozmawiałem z członkami naszej misji, która razem z misjami Czechosłowacji, Szwajcarii i Szwecji nadzoruje wykonanie postanowień rozejmowych. Przebiega tam wojskowa linia demarkacyjna, która kraj ten dzieli na dwa państwa. Widziałem druty kolczaste, wysoki mur i szeroki rów, jakim sirona południowokoreańska odgradziła się od Północy.

Ten mur i druty kolczaste dzielią jeden kraj, jeden naród na dwa państwa. Dzieli to często rodziny, dzieli ludzi, którzy należą do jednego narodu, a mieszkają w dwu różnych państwach. Podział Korei wpływa też na sytuację polityczną w tym rejonie świata, rodzi stałe napięcia, grozi wybuchem konfliktu.

Jak to widzą Koreańczycy? Otóż oni — po pierwsze — dążą do znalezienia sposobu na rozwiązanie tego problemu. Prezydent i sekretarz generalny KC Partii Pracy Korei — Kim Ir Sen oraz Komitet Centralny tej partii wysunęli oropczyje powołania konfederacji obu państw koreańskich.

Wychodzą oni z założenia, że Koreańczycy sami powinni decydować o swoich losach, a zjednoczenie Korei powinno dokonać się w oparciu o trzy zasady: samodzielności, pokojowego połączenia i narodowej integracji. W zjednoczonej Korei nie powinny stacjonować żadne obce wojska.

Po drugie natomiast — Koreańczycy są przygotowani do odparcia każdego ataku, gdyby taki nastąpił. Nieustannie doskonala oni swoją obronność.

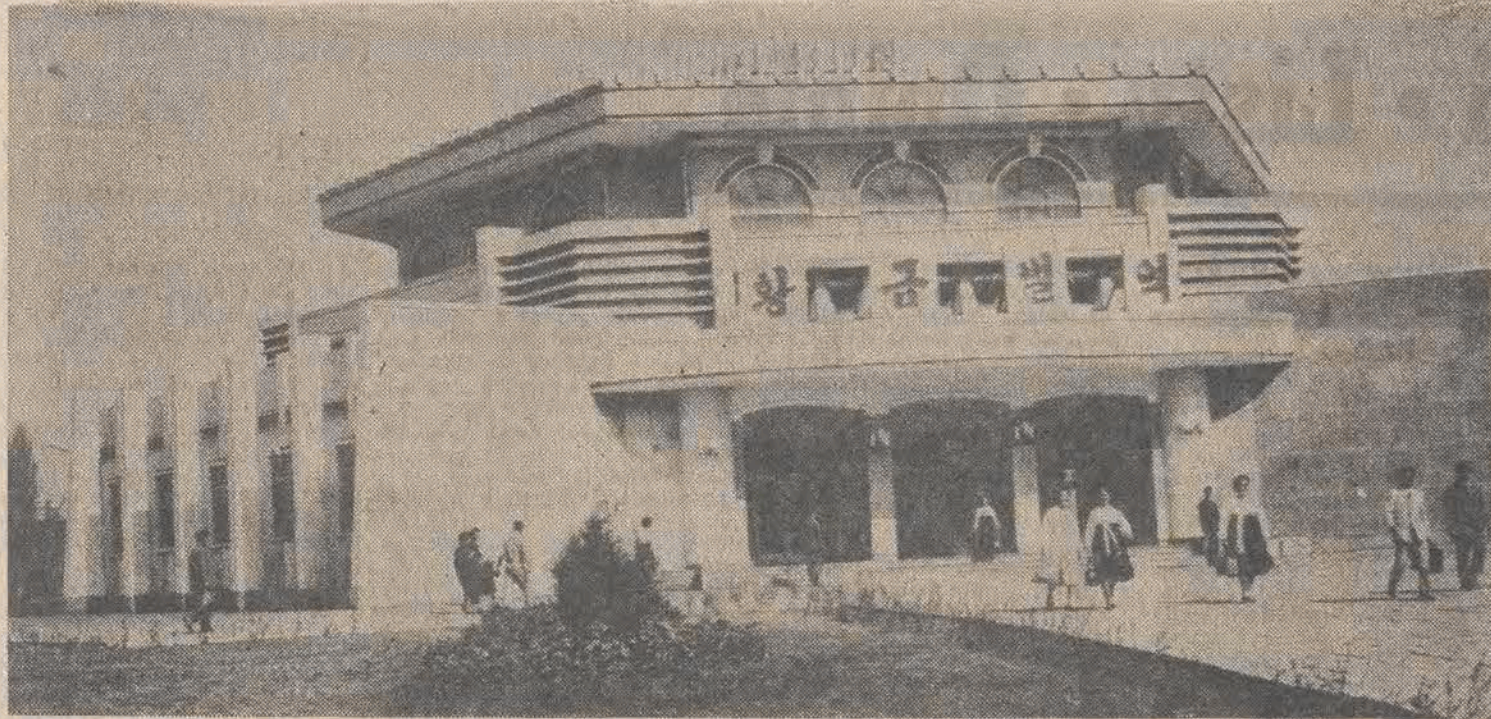
— Wystarczy spojrzeć na mapę, aby przekonać się, jakie strategiczne znaczenie dla USA posiada Południowa Korea.

— Nie może to jednak powstrzymać narodu koreańskiego w jego dążeniu do zjednoczenia. Wysuwają się więc postulaty powołania Konfederacji Północy i Południa, wybrania najwyższej konfederacyjnej sesji, która powołałaby stały komitet wykonawczy, czyli rząd i dwu przedstawicieli Północy i Południa, którzy na zmianę kierowałiby tym rządem. Powołanie Konfederacji Północy i Południa nie oznacza wcale rezygnacji z panujących w obu częściach Korei ideologii i ustrojów.

Koreańczycy są głęboko przekonani, że jest to trudna, ale jedyna droga zjednoczenia kraju.

— A jeśli chodzi o program wewnętrznego rozwoju Północy, jakie sprawy wysuwają się na plan pierwszy?

— Program wewnętrznego rozwoju Korei oparty jest na zasadzie „trzech rewolucji”: ideologicznej, technicznej i kulturalnej. Ale naczelną sprawą jest realizacja programu wyżywienia narodu. Jak wspomniałem, Korea jest krajem górzystym. Ziemia stanowi tu przede wszystkim własność społeczną. Uprawia się ryż, soję, kukurydzę. Ponieważ ziemi pod uprawę jest mało,



Stacja metra

Piękny kraj pracowitych ludzi

bardzo się ją szanuje. Każdy skrawek ziemi jest zagospodarowany, wykorzystany, coś się na nim uprawia.

Pod koniec lat czterdziestych Korea zbierała 2 mln ton tamtejszych zbóż, obecnie zbiera się 10 mln ton, a dąży się do tego, aby zebrać 15 milionów ton. Jak to osiągnąć? Z jednej strony poprzez wydobycie ziemi morzu i osuszenie mokradeł. W rejonie miasta Nampho, od strony Morza Żółtego, planuje się odzyskanie 300 tysięcy hektarów żyznej ziemi. Po wybudowaniu tam i służ odebrana ziemia morzu trzeba będzie osuszyć. Z drugiej strony poprzez rozbudowę przemysłu, który służy rozwojowi rolnictwa, a więc przemysłu chemicznego produkującego nawozy sztuczne, jak i maszyn rolnicze.

W całym przemyśle przyjęto zasadę rozbudowy tych dziedzin, które będą decydowały o dalszym rozwoju gospodarki i dlatego rozbudowuje się energetykę, hutnictwo, produkcję różnego rodzaju maszyn. Koreańczycy wychodzą z założenia, że nie mogą teraz osiągnąć wszystkiego, muszą się więc skoncentrować na produkcji tego, co będzie stanowiło o dalszej pomyślności narodu. Liczą przede wszystkim na własne siły, eksportują tylko tyle, ile mogą, kupując

za granicą również tylko to, co im niezbędne. Posiadają natomiast znaczne bogactwa mineralne, węgla, rudy metali szlachetnych. Za te surowce kupują przede wszystkim rąkły techniczne.

— Handlują również z Polską.

— Kupują u nas między innymi koks. Sprzedają nam rudy, głównie magnezytu. Ich transportem z powodzeniem zajmuje się polsko-koreańska spółka morska, która też świadczy inne usługi różnym kontrahentom. Istnieje możliwość współpracy polsko-koreańskiej w dziedzinie rybołówstwa i przemysłu stoczniowego.

— Chciałbym teraz zapytać o wrażenia w kontaktach z ludźmi.

— Bardzo różne. Ale powiem może, co mnie szczególnie uderzyło. Przede wszystkim dumą z tego, co osiągnęli. Koreańczycy nie zdawali sobie sprawy z tego, co mogą osiągnąć własną pracą. Stąd dumą z jej wyników. Bardzo silnie akcentują, że wszystko, co osiągnęli, zawdzięczają sobie samym. Nastąpił tam ogromny awans społeczny. Pracuje się z wielkim poświęceniem i bardzo szanuje się pracę.

Jeden z naszych oficerów, który jest członkiem polskiej misji, opowiadał rzecz przeziwającą i dla nas zupełnie niezrozumiałą. Otóż ma on klerowca — Koreańczyka. Kiedy gdzieś przyjeżdżają, klerowca zawsze pyta, ile jemu czasu zajmie załatwienie sprawy. I następnie oświadcza, że będzie w pobliskim gospodarstwie. Idzie tam i pracuje. Czyści kanały irygacyjne, pieli albo wykonuje jakieś inne prace polowe. On po prostu uważa, że bezczynne siedzenie w samochodzie byłoby niedopuszczalną stratą czasu.

— Są to zapewne skutki wychowania.

— Bez wątpienia. Czy to w rodzinie, czy w szkole, dziecko ma określone zadania i musi je wykonywać. Pod opieką młodzieży są skwery, parki, polećka. I nie mogą powiedzieć, aby były zaniedbane. Jest to naród bardzo pracowity i zdyscyplinowany.

Oglądałem uroczystości związane z obchodami 35 rocznicy powstania Ludowej Korei i mogłem podziwiać ich zdyscyplinowanie i precyzję w wykonywaniu bardzo trudnych i skomplikowanych ćwiczeń, figur, barwnych korowodów. A brały w tym udział tysiące ludzi. Było to coś wspaniałego i niezapomnianego.

— Jest to kraj o zupełnie innych obyczajach, często szokujących i zadziwiających Europejczyka.

— Opowiem na przykład takie zdarzenie. Przy zwiedzaniu

jednej z fabryk towarzyszyła nam kobieta, wicepremier. Przy przejściu przez drzwi zawsze — co jest u nas naturalne — starałem się ją pierwszą przepuścić. Nigdy z tego nie korzystała. Sądziłem, że to z szacunku dla gości. Koreańczycy są bowiem narodem bardzo gościnnym. Ale okazało się, że to leży po prostu w koreańskich zwyczajach. Zwyczaj gospodarzy należy szanować.

Ten przypadek wzbudził moje zainteresowanie pozycją kobiety w koreańskim społeczeństwie. Zajmują one poważne stanowiska, pracują zawodowo, uczą się. Ale jednocześnie pełnią ważną rolę organizatorki życia rodzinnego. W Korei oczywiście są rozwody, ale nie jest „w dobrym tonie” brać rozwód. Sąd robi wszystko, aby małżonków pogodzić. Nie zawsze się to udaje. Wprawdzie mówi się, że ślub bierze się na 100 lat, ale są sytuacje, kiedy trzeba małżeństwo rozwiązać. Uważa się to za prywatną sprawę małżonków, ale też uznaje za rozwiązanie ostateczne i raczej wyjątkowe.

Dowiedziałem się od moich koreańskich rozmówców, że funkcjonuje tam instytucja narzeczeństwa, która trwa dwa lata lub trzy lata i niebawem rzadko zdarza się, aby w tym okresie dziewczyna zaszła w ciążę.

Inną ciekawostką. Wiadomo, że koreańczycy produkują zmiętkę, taki gatunek wódki. Pytałem również, jak to się robi. Opowiedziano mi, że złozone zmiętkę trzyma się przez tydzień w czystej wodzie, aby całkowicie się oczyściły. Później wkłada się je żywe do butelek i zalewa 60-procentowym alkoholem. Zmiętkę się najpierw spija, a później wydzielają z siebie różne składniki do wódki. Koreańska zmiętkowa zyskała na międzynarodowych targach wysokie nagrody i medale.

— Próbowałem koreańską zmiętkę i muszę powiedzieć, że jest znakomita, chociaż wielu Europejczyków z obrzydzeniem odrzuciłoby ten napój.

— Mniej znana jest natomiast nalewka na kości tygrysyj. A i taką widziałem w Korei.

Można by jeszcze wiele mówić o różnych drobnostkach, które zadziwiają Europejczyka. Na zakończenie chciałbym powiedzieć tylko o pięknych koreańskich haftach, które wszystkim nam bardzo się podobały. Są niebawem subtelne w rysunku, delikatne, precyzyjnie wykonane. Pracowitość i precyzja koreańskich artystów i rzemieślników wyraża się zresztą nie tylko w pięknym haftcie, ale w całej sztuce ludowej, w koreańskim folklorze, w koreańskiej sztuce.

Jest to kraj dobrze zorganizowany, kraj pracowitych ludzi, godny podziwu i uznania.

Koreańskie dziewczęta na ogół nie palą papierosów, a już w żadnym wypadku na ulicy. Zdarza się natomiast, że papierosy palą starsze wiekiem kobiety. Młodzi chłopcy nie mają odwagi zapalić w obecności ojca, jeśli są kawalerami. Zonatomu to już uchodzi.

Tradycja koreańska utrwala bardzo interesujący zwyczaj nakładający na najstarszego syna obowiązek opieki nad rodzicami. Dziś, kiedy kraj się rozbudowuje, powstają nowe fabryki, ludzie zmieniają miejsce zamieszkania, zmienia się też i ten zwyczaj. Rodzice wybierają sobie na ogół tego syna, któremu lepiej się powodzi, który ma większe mieszkanie i przez to może lepiej spełniać opiekę nad rodzicami. Często też kierują się miłością do wybranego dziecka, a nie prawem starszeństwa czy warunkami materialnymi.

— Jeśli już mówimy o tradycji, to ona w dużej mierze wpływa na kształt kultury i sztuki koreańskiej.

— Istotnie. Spotkaliśmy się w Korei z bogatym życiem kulturalnym. Istnieje tam mnóstwo zespołów artystycznych i to często o bardzo wysokim poziomie. Bardzo wysoko rozwinięte jest upowszechnianie książek. Książek tam nie brakuje. Sztuka koreańska bardzo silnie nawiązuje do tradycji, wyrasta z folkloru. Można to obserwować nie tylko w rekwizycjach, ale w balecie, teatrze, operze. Mieliśmy możliwość z okazji obchodów 35 rocznicy powstania Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej zetknąć się ze sztuką koreańską, obejrzeć wiele różnych występów artystycznych. Pozostawili one piękne, niezatarte wrażenia.

— Założyliśmy na początku naszej rozmowy, że będziemy rozmawiali o wrażeniach i spostrzeżeniach. Chciałbym więc zapytać o jakieś ciekawostki, drobnostki, które dla nas są atrakcyjne i egzotyczne.

— Wspomniałem już, że Korea ma jeszcze czyste rzeki. Czyste i pełne ryb. Sam widziałem, jak koreański wędkarz złowił 7-kilogramową rybę.

— Ale myślę, że bardziej interesujące będzie to, czego dowiedziałem się o korzeniu żeńszek. Rośnie on w górach nad strumieniami. Rośnie bardzo powoli. Wprawdzie koło Kesongu są uprawy korzeni żeńszek, bo tylko tam się to udaje. Niektórzy twierdzą, że uprawa żeńszek to tajemnica Korei. Próbowano uprawiać te rośliny w innych krajach i nawet się to pozornie udało. W ciągu roku korzenie żeńszek osiągnęły rozmiary korzeni 10-letnich. Tylko, że nie posiadały żadnej wartości. A żeńszek koreański ma ich wiele, tam medycyna dość powszechnie stosuje ten korzeń jako lekarstwo o przeróżnych właściwościach.

— Próbowałem koreańską zmiętkę i muszę powiedzieć, że jest znakomita, chociaż wielu Europejczyków z obrzydzeniem odrzuciłoby ten napój.

— Mniej znana jest natomiast nalewka na kości tygrysyj. A i taką widziałem w Korei.

Można by jeszcze wiele mówić o różnych drobnostkach, które zadziwiają Europejczyka. Na zakończenie chciałbym powiedzieć tylko o pięknych koreańskich haftach, które wszystkim nam bardzo się podobały. Są niebawem subtelne w rysunku, delikatne, precyzyjnie wykonane. Pracowitość i precyzja koreańskich artystów i rzemieślników wyraża się zresztą nie tylko w pięknym haftcie, ale w całej sztuce ludowej, w koreańskim folklorze, w koreańskiej sztuce.

Jest to kraj dobrze zorganizowany, kraj pracowitych ludzi, godny podziwu i uznania.

— Jeśli już mówimy o tradycji, to ona w dużej mierze wpływa na kształt kultury i sztuki koreańskiej.

— Istotnie. Spotkaliśmy się w Korei z bogatym życiem kulturalnym. Istnieje tam mnóstwo zespołów artystycznych i to często o bardzo wysokim poziomie. Bardzo wysoko rozwinięte jest upowszechnianie książek. Książek tam nie brakuje. Sztuka koreańska bardzo silnie nawiązuje do tradycji, wyrasta z folkloru. Można to obserwować nie tylko w rekwizycjach, ale w balecie, teatrze, operze. Mieliśmy możliwość z okazji obchodów 35 rocznicy powstania Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej zetknąć się ze sztuką koreańską, obejrzeć wiele różnych występów artystycznych. Pozostawili one piękne, niezatarte wrażenia.

— Założyliśmy na początku naszej rozmowy, że będziemy rozmawiali o wrażeniach i spostrzeżeniach. Chciałbym więc zapytać o jakieś ciekawostki, drobnostki, które dla nas są atrakcyjne i egzotyczne.

— Wspomniałem już, że Korea ma jeszcze czyste rzeki. Czyste i pełne ryb. Sam widziałem, jak koreański wędkarz złowił 7-kilogramową rybę.

— Ale myślę, że bardziej interesujące będzie to, czego dowiedziałem się o korzeniu żeńszek. Rośnie on w górach nad strumieniami. Rośnie bardzo powoli. Wprawdzie koło Kesongu są uprawy korzeni żeńszek, bo tylko tam się to udaje. Niektórzy twierdzą, że uprawa żeńszek to tajemnica Korei. Próbowano uprawiać te rośliny w innych krajach i nawet się to pozornie udało. W ciągu roku korzenie żeńszek osiągnęły rozmiary korzeni 10-letnich. Tylko, że nie posiadały żadnej wartości. A żeńszek koreański ma ich wiele, tam medycyna dość powszechnie stosuje ten korzeń jako lekarstwo o przeróżnych właściwościach.

— Próbowałem koreańską zmiętkę i muszę powiedzieć, że jest znakomita, chociaż wielu Europejczyków z obrzydzeniem odrzuciłoby ten napój.

— Mniej znana jest natomiast nalewka na kości tygrysyj. A i taką widziałem w Korei.

Można by jeszcze wiele mówić o różnych drobnostkach, które zadziwiają Europejczyka. Na zakończenie chciałbym powiedzieć tylko o pięknych koreańskich haftach, które wszystkim nam bardzo się podobały. Są niebawem subtelne w rysunku, delikatne, precyzyjnie wykonane. Pracowitość i precyzja koreańskich artystów i rzemieślników wyraża się zresztą nie tylko w pięknym haftcie, ale w całej sztuce ludowej, w koreańskim folklorze, w koreańskiej sztuce.

Jest to kraj dobrze zorganizowany, kraj pracowitych ludzi, godny podziwu i uznania.

— Jeśli już mówimy o tradycji, to ona w dużej mierze wpływa na kształt kultury i sztuki koreańskiej.

— Istotnie. Spotkaliśmy się w Korei z bogatym życiem kulturalnym. Istnieje tam mnóstwo zespołów artystycznych i to często o bardzo wysokim poziomie. Bardzo wysoko rozwinięte jest upowszechnianie książek. Książek tam nie brakuje. Sztuka koreańska bardzo silnie nawiązuje do tradycji, wyrasta z folkloru. Można to obserwować nie tylko w rekwizycjach, ale w balecie, teatrze, operze. Mieliśmy możliwość z okazji obchodów 35 rocznicy powstania Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej zetknąć się ze sztuką koreańską, obejrzeć wiele różnych występów artystycznych. Pozostawili one piękne, niezatarte wrażenia.

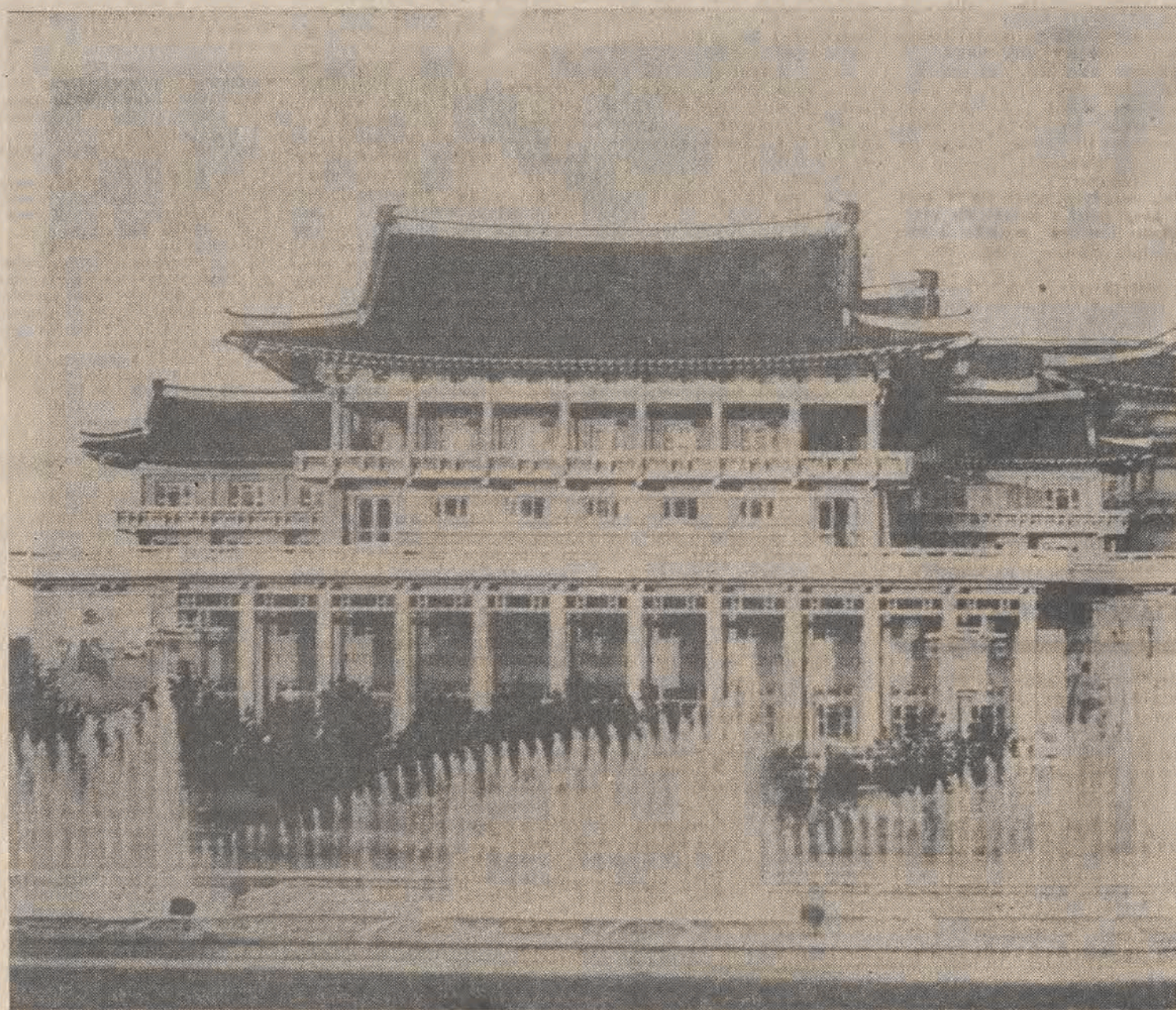
— Założyliśmy na początku naszej rozmowy, że będziemy rozmawiali o wrażeniach i spostrzeżeniach. Chciałbym więc zapytać o jakieś ciekawostki, drobnostki, które dla nas są atrakcyjne i egzotyczne.

— Wspomniałem już, że Korea ma jeszcze czyste rzeki. Czyste i pełne ryb. Sam widziałem, jak koreański wędkarz złowił 7-kilogramową rybę.

— Ale myślę, że bardziej interesujące będzie to, czego dowiedziałem się o korzeniu żeńszek. Rośnie on w górach nad strumieniami. Rośnie bardzo powoli. Wprawdzie koło Kesongu są uprawy korzeni żeńszek, bo tylko tam się to udaje. Niektórzy twierdzą, że uprawa żeńszek to tajemnica Korei. Próbowano uprawiać te rośliny w innych krajach i nawet się to pozornie udało. W ciągu roku korzenie żeńszek osiągnęły rozmiary korzeni 10-letnich. Tylko, że nie posiadały żadnej wartości. A żeńszek koreański ma ich wiele, tam medycyna dość powszechnie stosuje ten korzeń jako lekarstwo o przeróżnych właściwościach.

— Próbowałem koreańską zmiętkę i muszę powiedzieć, że jest znakomita, chociaż wielu Europejczyków z obrzydzeniem odrzuciłoby ten napój.

— Mniej znana jest natomiast nalewka na kości tygrysyj. A i taką widziałem w Korei.



Ludowy Pałac Kultury

Światła stacyjne rozpraszają się w zawilgoconych szybach, oślepiają. Siedzimy w półmroku przedziału, a fosforującym oknem: serjany aktorzy w skrzynce telewizora. Co mi przychodzi do głowy? Nikt tu nie jest aktorem. Jakis robotnik z miną kpiarza, tego z cukierkami, to pewnie ciocia w odzieżach, matka i córka z zakupami, student, jakiś podпиты ewier-inteligent, facet w delegacji. Przeciętni pasażerowie, którzy zajęli sobie miejsca przed innymi, zadowoleni, że uniknęli pochopiania na korytarzu.

Ktoś wyciąga termos. Kubek kołysze się w ręku. Pociąg zwalnia. Chętnie zalałabym gorącą herbatą kapustną kolację. Wychodzę na korytarz. Na pustych peronach podmiejskich stacyk lśnią kałuże. Wiatr za oknem oddycha nocną mgłą, nasyoną zapachem butwiejących liści. Oznacza to, że pociąg zszedł już z gór w monotonne, podmokłe doliny.

Zegary dworcowe przekroczyły północ. Zmęczenie gromadzi się w zdętych barkach, osiada w oczach szorstkim ziarnem piachu — Gdybym to ja miała wybierać, nie rozdzielalabym włos na czworo. Widzę jedynę wyście — wyjechać. Im szybciej, tym lepiej — przypominają mi się słowa Halinki. — Nie rozumiem, co cię wiąże z tym miejscem.

— Nic.
Wybór to bardzo wygodne słowo. Nawet wówczas, między miotem a kowadłem, mam niezależność i siła. Ale ja za dużo wiem. Nie ma wyjścia. Ona nigdy nie musiała walczyć, nie wpadła w pułapkę wzajemnych sprzeczności wyboru i przymusu. Cofała się przeczornie, najchętniej za cudze plecy dobrze przemysłanych wiezi. Jej rady...

— Nie wolno mi teraz o tym myśleć. Jeszcze widzę przy sobie jakąś szczyptę sensu. Może to pułapka. Był tu jakiś wybór, ale dokonał się poza i przeciw mnie. Więc moja świadomość przynajmniej także rację Halince. To doświadczenie nauczyło mnie czegoś. Wiem, że zły wybór niszczy mnie. Nie mam już wielu złudzeń. Starość nie jest kwestią lat. To nagłe odkrycie bezwzględności reguł gry, gdy tkwi się w tym już po uszy, w rozpedzonym pociągu lat. To przerażenie ogromem strat, niemożnością odwrotu, ryzykiem. Od tej chwili zaczyna się pospiech.

— Musisz się spieszyć z tym egzaminem, zdać w terminie jest zawsze łatwiej — znowu Halinka.

— Właśnie dziś: niepostrzeżenie już minęła północ. Za kilka godzin. Powiniam usiąść i jeszcze wszystko przeżyć.

— Ale za dużo tu zgłębku. Wszyscy mówią naraz, gestykują, przeszkadzają sobie.

— My kupujemy ten towar, ale nie za tę cenę, droga pani.

— Właściwie nie ma się o co bić — koledzy.

— Cóż cię wiąże z tamtym, nawet jeśli nie skończysz — Halinka.

— Tysiące ludzi obywateli się bez tytułu. Jakos żyją, wychodzą do fabryk i biur, w pole, oglądają mecze — socjolog w delegacji.

— Ludzie rodzą się podobnie — ciocia od cukierków.

— Wszyscy mają jednakowe żołądki — docent medycyny.

— Ktoś musi piec chleb, robić buty — z koleżki u szewca.

— Chcemy radości!

— Dajcie piwa, weźcie sobie koniak.

— Jak tu związać koniec z końcem?

— Bony kupię.

— Nie.

Z szyby przygląda mi się twarz znana, ale starsza o tyle lat, ile ja czasem chciałabym odjąć od swojej. Widzę podobieństwa. Nie chcę się do niej przyznać. Nie jest to moja twarz! Taka twarz nie przynosi szczęścia. Są w niej jakieś błędy, usterki, skazy, które powinny być usunięte. Coś nie tak. Mężczyźni zwykle wiedzą, co. Wyciągają rękę, by się upewnić. Dłoń cofa się natychmiast przed chłodnym, mokrym dotykiem skóry.

— Wypij się porządnie i zrób śniadanie. Nic nie mówisz. Zrób śniadanie, słyszysz? Co, ty śpisz?

— Nie, nie. Zamysliłam się. Zrobię ci kawę.

— Nie, dziękuję. Tej jeszcze nie wypiliam. Może nie powinnam tego robić, ale powiem ci coś. Wiesz dobrze o tym, że ani ty, ani ja, światła nie zmienimy. Pomyśl trochę o sobie. Kup coś modnego, idź do fryzjera. Nie można wszystkiego brać tak serio, analizować. Taka postawa skazuje na przegrana. Chyba nie chcesz się znaleźć w pokoju bez klamek. Ta wieść, to niedobre miejsce dla ciebie.

— Więc słyszałaś o tym chłopaku?

— Tak, ale szczegółów nie znam. Jak to było?

— Był ciepły, bezwzględny, przedziwny, przedpołudnie, kiedy bardzo chce się spać po nocy spędzonej na zabawie. Aż znalazł się piwo lub połówka, ustronny kąt, gdzie można się zdrzemnąć. Właśnie wtedy podszedł wagon z węglem. Stały barykadą w poprzek kombinatu. Ani przejsz. Najlepsze w takiej sytuacji, to szybki rozładunek.

— Ilu ludzi pan zebrał?

— Tylko trzech.

— Dlaczego tak mało?

— Kierownik wziął kilkunastu do remontu pieca.

— Poszłam sprawdzić. Dlaczego nie zadowoliliam się wyjaśnieniem majstra? Przecież wiedziałam, jak wyglądały remonty i poniedziałki o tej porze roku. Nie musiałam. W końcu je ktoś rozładuje, nie dziś, to jutro. Że zawadzają? Że kary za przestoje? Że kradnie się węgiel? Pokaż pani budowę, gdzie nie kradną. No właśnie. Trzeba z ludźmi żyć, a nie szukać dziury w całym. Śniadanie w d... i siedzieć.

— Wtedy go znalazłam, przepiękny i śpiący. Chyba piątą raz w tym miesiącu. Ciekawe, czy mamusiaści płaćby mu za spante na ładzie wśród goździków i azali! Przecież i tak będzie sprzedawał kwiatki: to jest jakiś pieniążek, nie musi wcale kończyć tej przyzakładowej wylegarni talentów.

— Zwalniam cię — powiedziałam zimno do rozklejających się powiek, rozprostowujących się pleców, zlewającej, drwiącej mordy.

— Za...?

— Za wielokrotne picie i spanie podczas pracy.

— Ja ci pokażę, gdzie raki zimują!

— Patrzyłam na dziwne leniwo, ostentacyjnie niespieszny krok. Aż zrozumiałam, jak bardzo jest pijany. Po kilkunastu minutach wydzignęto go z rzeki. Jeszcze żył. Dziś sprzedaje kwiatki, a matka rozczuła się nad jego dobrym sercem, wradliwą naturą. Tak się tym przejął, że omal się z żalu nie utopił; ona jest temu winna. Tylko ona!

— Nie ma w tym twojej winy. Jesteś w porządku. Topił się, bo był pijany. Koń ma wielki łeb, niech się martwi.

— Nie zapominaj, że nie wskazano winnego. Długo mówiono o tym zdarzeniu. On ma tu braci i innych krewnych: domysł się sama, co to znaczy. Postąpiłam inaczej, wbrew uznanym zwyczajom, a tego się łatwo nie wybacza — to wiesz! Wiesz już, na czym polega moja wina. Wystarczający powód bym nie lubiła i usunąć spośród siebie.

— Pociąg zatrzymuje się. Za torami piętrzą się w górę ciemne kształty zwane miastem. Grubsze ryby wysiadają, zostawiając na korytarzu puste faszki po piwie „Specjal”. Magazyn chrypi o spóźnieniu. Ludzie biegają po mokrych peronach. Jakis mężczyzna zatrzymuje się nagle, jakby dusił się w mocno zacieniętej, wielkiej petli jaskrawego, żółtego krawata. Przez moment wydaje mi się, że zszedł z wirny przywrotnego sklepu i jest rozczarowany sionną szarością wokół. Wyciągniętą ręką wskazuje blondynka, który szedł obok.

— To pedał — krzyczy — pedał, pedał!

— Tamten cofa się zaskoczony i błądzi. Widzę oczy okrągłe, niebieskie guziczki, nieruchomiejące z przerażenia. Stoję w otwartym oknie, dwa metry od tego miejsca.

— Wtem blondynek zrywa się i niby popchnięty znika w przejściu podziemnym. Nikt go nie goni. Ludzie idą dalej.

— Siadam na swoim miejscu w ciemnym przedziale. Wcisnąm się w kąt. Chcę się trochę zdrzemnąć.

— Która godzina? — pyta ciocia z cukierkami.

— Odpowiada jej mężczyzna, który już wytrzeźwiał. Ciocia głośno o-blicza spóźnienie.

— Możemy jeszcze nadrobić.

— W następnym wagonie jest „Wars”. Pan chyba lubi czasem sobie strzelić? — to ten skacowany.

— Oczy robotnika śmieją się, ale milczy. Wiadomo, że pójdzie. Korytarz jest wycięziony i pusty. Nie znam tego egzaminu. I nie nie robię, by temu zapobiec. Nie mam śniadania. Nie mam szczęścia.

— Wino ma smak palonego cukru.

— Czy to prawda, że masz do sprzedania nowe opony do „Wartburga”?

— Nie, nieprawda. Nie mam nawet śrubki do samochodu. Nigdy nie miałam. A... kto cię tu skierował?

— Ktoś zadzwonił do biura i od razu zapytał: Czy dostał pan opony do auta?

— Nie...

— Znam kogoś, kto je chciał sprzedać — przerwał mi.

— Kto?

— Podam panu adres...

— Jest pan pewny?

— Najzupełniej... — nagle rozmowa się urwała.

— Słyszałem już gdzieś ten głos, ale tak mnie zaskoczył, że sobie nie przypomniałem. Działo się to tak szybko. Wtedy łatwo sobie tłumaczyłem awaria na linii. Pozybywszy się tym sposobem podejrzeń, zacząłem nawet wierzyć w szczęśliwe przypadki, wielkoduszne gesty...

— Szukam tych opon od kilku miesięcy. Ktoś wyciął mi głupi kawał. Jakis sk...syn!

— Nie, on zdrwił ze mnie. To było dokładnie przemysłane. Wiesz... ja jeszcze jeżdżę na tym starym rowerze, który mi kiedyś kłies...

— Skutbym mordę takiemu bydłakowi. Żeby tylko wiedział — kto?

— Jesteś mężczyzną. Możesz sobie na to pozwolić.

— A ty się nie domyślasz?

— Nie wiem kto.

Zastanawiam się, który to już raz w tym miesiącu. Najpierw przyszedł facet po akordeon. To dlatego, że mi słoń nadeptał na ucho. Potem po gołębie. Było gwizdanie pod oknem i kocia muzyka, rzućanie w drzwi kamieniami. Wreszcie anonim, w którym poleciono mi wynieść się, jak najprędzej, gdzie pieprz rośnie.

— Pamiętam rozmowę ze znajomym prawnikiem.

— Nie ma w tym żadnego problemu prawnego. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy — zdrwił.

— Przypuśćmy, że niechęć. Dziś nie mam mu już za złe. Nie chciał, nie musiał wchodzić w tę metną wodę.

— Jakże wyjechać? Jeśli dobrze zrozumiałem, to przecież nic nie wiąże...

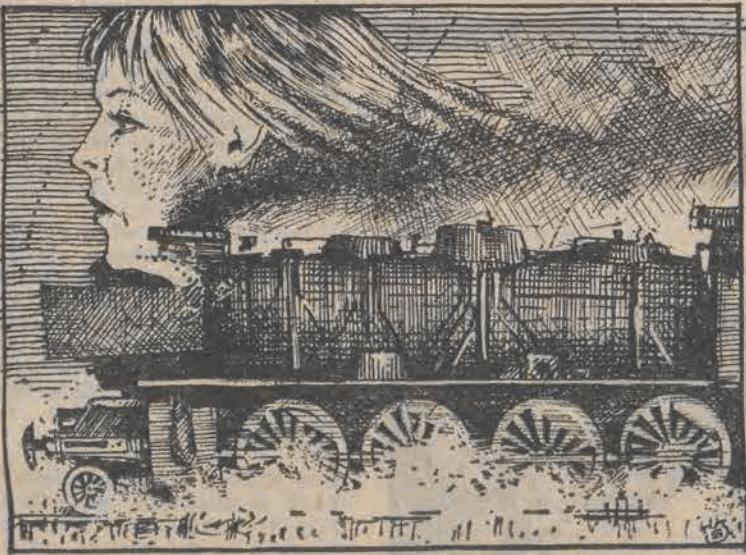
— Halinka miała pogodnie usposobienie i unikała ustawiania się pod prąd. Gotowała z upodobaniem, trochę szyła, lubiła dzieci i była bez przerwy zakochana, a imiona mężczyzn zmieniały się szybciej niż pory roku. Opowiadała o tym bez specjalnej zachęty, o kwiatkach, prezentach i uroczych wieczorach sam na sam. Delikatna. Czytała i taka kobieca. Wymarzona dla mężczyzny, którym wiek nakazuje się ożenić i którzy wiedzą, ile za to może dać jej wysoki ob-stawiony, zapobiegliwy papa.

— Halinka przyjechała niespodziewanie i pokazała mi zaproszenie na mój ślub. Wysłane było — nby ode mnie — dla niej. Kragłość kaligrafowanych liter była równie wstrętne jak na owej tepej, nachalnej gazecie o chorobach w ze szpitalnego korytarza, na którą, z coraz większą rozpaczą i wściekłością patrzyłam każdego, następnego dnia. Zły sen dojrzał. Wypełniły się wszystkie moje lęki nad-ranne; przed ujęciem klamki, przed uśmiechem przyjaciela — nie-przyjaciela, przed niewiadomym dnem metnej wody.

— Halinka zamyka torebkę.

Temat współczesny

Metna woda



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Nigdy żadnego zaproszenia do nikogo nie wysyłałam.

— Ta sprawa ma początek na poczcie — mówię — tam się czyta nie tylko adresy nadawców, ale także i reszty.

— Zrobił z tego użytek — odezwała się Halinka.

— Listonosz oczywiście wypatrzył się. Nic nikomu nie udowodnił.

— Pocałuj się w d... nic nie rozumiesz, a wyjeżdżasz ze swoimi, głupimi radami.

— Przepraszam, może nie rozumiem. Nie, że się wyraziłam. Chciałam powiedzieć, że jeśli wytrzymałaś z tą hołotą tyle lat, że... masz żelazne zdrowie. Bo ja... jeśli człowiek nie wie...

— Czekam na pewnego człowieka...

— A, to zupełnie inna...

— Nie przerywaj mi, proszę. Może nawet jestem chora — nie zaprzeczaj — skoro tak się różnie od wszystkich i nikomu nie wierzę, nawet sobie. Tytu ludzi nie może się mylić w sądach o tej samej osobie. Może powinnam — przynajmniej kilka razy — wyjść za mąż.

— Na kogo czekasz?

— Na kogokolwiek. Na przyjaciela jednego z nich. Chcę się dowiedzieć, co im zło zrobiłam. Niech mi to wreszcie ktoś powie. W oczu. Potem wyniosę się natychmiast. Ale muszę mieć pewność, co złośliwa na to tylko czekam.

— Nikt taki nie przyjdzie, możesz mi wierzyć, ja znam ludzi. Wprawdzie nie mieszkałam w mi, to wszystko jest dla mnie prawie nieprawdopodobne, absurdalne, ale wydaje mi się, że ktoś musi wreszcie przerwać ten koszmarny. Śmiejesz się. No tak, to zaproszenie...

— Dlaczego nie da się w uczciwy sposób żyć?

— Nie wiem, co rozumiesz przez „uczciwy sposób życia”. I nie stawiam mi takich, przeraźliwych pytań, od których się zimno robi. Człowiek musi w coś wierzyć. Musi!

— W co wierzysz?

— Halinka wstaje. Cóż ona winna? — głupio się zachowałam i teraz jest mi przykro. Ale nie przynajmniej się do tego. Nie stać mnie na najbanalniejsze słowo przeprosin.

— Kiedy masz ten egzamin? — pyta po drodze.

— Jutro.

— Czemu nie wzięłaś parę dni urlopu?

— Chciałam, ale jakoś nie wyszło.

— Szef odmówił?

— Nie, nie odmówił.

— A co? Wypać, że tak pytam — Halinka wyczuwa moją niechęć — ale skoro już o tym mówimy...

— Poszłam do niego ze Stasią...

— Która Stasia?

— Ta, która pod tobą mieszka.

— Wiem, wiem. Razem z szefem chodziła do szkoły, wygadała się kiedyś, że na jednym błoniu krowy pasła.

— Stałyśmy przed biurkiem i ona, biedaczka zaczęła: „Panie kierowniku...”

— Dlaczego „biedaczka”?

— Bo sobie zapomniała, że teraz nie ma kierowników, tylko dyrektorzy.

— Czy to takie ważne?

— Oczywiście i to bardzo, gdyż on jej przerwał i poprawił powoli, głośno, wyraźnie: „Nie panie kierowniku, tylko panie dyrektorze.”

— Coś podobnego? A ona?

— Nie wiem, bo uciekłam.

— A ja myślałam, że to dobry człowiek. Takie wrażenie robi. Doprawdy ręce opadają.

— Nie wymagaj więc ode mnie za wiele. Chcę jakoś skończyć te studia.

— Za sklepem, koło ustępu, piją wino z butelek. Któryś gwizdże na nasz widok. Śmiechy. Halinka błędnie i patrzy na mnie. Nie jest przyzwyczajona do takiego traktowania. Wzruszam ramionami.

— Normalna. To chyba „Hermaszewski”.

— Kto?

— „Hermaszewski”. Jednego tak przezywają. Raz popił i spadł z piętra. Ale nie mu się stało. Stąd przezwisko.

— Księżniczka bufetowa obserwuje nas, od progu pustego o tej porze baru Halinka otwiera drzwi autobusu, zadowolona, że wreszcie pozbywa się krepującego towarzysza.

— Zmęczenie zgina kolana. Siadam na zielonej ławce przystanku rozbita, pusta. Jakis cień sunie po betonie w moim kierunku.

— Pani chora?

— Nie...

— Dostżegam karty świąteczne za szybą kiosku. No tak, za parę dni. Kupuję dwie i dwa znaczki. Właściwie, nie wiadomo po co. Szukam dwu nazwisk. Ale nie znajduję nawet jednego.

— Samotność to biały, nie zapisana kartka, z przyklejonym znaczkiem. Wieczór prósy dookoła szarym pyłem, a ja ciągle siedzę, z długopisem w dłoni, szukając imion dwójga ludzi, którym chcę przesłać życzenia świąteczne.

— Mam!

Szybko wypisuję swoje nazwisko. Drugiej karty nie udaje mi się zapamiętać, obok wypisanych życzeń, miejsce adresata pozostaje puste. Podchodzę do czerwonego pudełka. Słyszę wyraźnie, jak karty spadają na blaszane dno pustej skrzynki. Jutro znajdą je na poczcie. Przeczytają życzenia bez adresata. Będzie ubaw po pachy. Pomyślą, że ktoś sobie chyba popił. Ale nikt z nich prawdy nie odkryje; nie odgadnie, że owa nie zapisana karta to prowokacja. Jak wyciągnęła dłoń. Kto ją podejmię, kto wzgardzi? Ciekawe, co z nią zrobią. Wrzucą do kosza, czy wystawią w okienku w nadziei, że może się ktoś po nią zgłosi. Oczywiście nikt się do niej nie przyzna, no bo kto chciałby się dobrowolnie narażać na śmiech całej wsi? A może weźmie ją listonosz i wyśle do rodziny? Ma siostry, braci. Szkoda przecież wyrzucać, bo taka ładna.

— Idę, potykając się w ciemnościach na nierównej drodze, potracając kamienie.

— W nocy, nawet dobrze znany budynek wydaje się jeszcze większy, ziemniejszy i bardziej wrogi. Pamiętam każdy zakręt korytarza, skrzyp każdych drzwi. Szukam pewnego okna. Podchodzę krok za krokiem, sprawdzam odległość. Jeszcze kilka metrów. Już!

— Pochyliam się. Jest jeszcze czas na odejście. Nikt mnie nie widzi. Może się śmiało wycofać. Nie ma świadków. Jeszcze można...

— Trzask rozbitego szkła, straszliwie głośny w stojącej ciszy budzi wszystkie psy. To nie przypadek. I nie pijacy, bo ci sniły w odludnych zaciszach o wartkich rzekach trunków, ani nie podmuch wiatru, gdyż ten akurat roztrwonil energię niedawno, a zebranie świeżych sił w nowych gniazdach wyzów i niżów potraw. Stało się więc to nieuniknione. Kamień obrzydliwy wpadł do wewnątrz, może nawet leży na biurku. Czekam na reakcję. To biurko za cały repertuar krzyków, przekleństw. Może mściciel wybiegnie lada chwila i jak jastrząb runie ciałem na śmiatka.

— Nie zapala się żadne światło, nikt nie wychodzi. Nie ma pościgu, zaczajonego za węglem, w krzakach żywoptu. Cisza luty w uszach strumieniami krwi. Wchodzę po schodach, a rozsypane szkło chrzęści pod butami. Brak mi może czerwonego sukna, może mężczyzny z toporem i wrzaskliwej, czubięcej się tam w dole gawiedzi, żadnej krwawych igrzysk. W pobliżu wyje pies, przerażony stojącym pod drzwiami ciemnem. Naciśkam klamkę. Powtarzam ruch aż do wściekłego jęzgotu metalu. Jeszcze czekam, jeszcze mam nadzieję.

— Nikogo to nie obchodzi. Nawet psy dopuszczają się zdrady i milczą. Przede mną bieleje pas cementu, gładki jak nie zapisana kartka. Boli zwinięta pięść. Echo uderzeń ginie w pustych korytarzach. Wałę obcasem w zakuty mosiadzem czy też miedzią egzotm tych drzwi. Ich wyniosła pycha, ich milcząca pogarda, ich cisza... Odwracam się nagle i uciekam. Biegają za mną rozbudzone, warczące zardziecko psy.

— Patrzę na przebiegające, świecące okna. Za szybą, na jaśniejącym niebie przedświt czernieją nieruchome cienie śpiących drzew. Nagle ciocia od cukierków decyduje się na prywatne siedziwo w sprawie aktualnego postoju pociągu w polu. Dokonawszy gruntownej analizy wszelkich, możliwych przyczyn, z przniactwem kolejarzy włącznie, wychodzi posapując groźnie. Zaczajona, przy otwartym oknie, w końcu upoluje i wypatroszy jakiegoś szaraka w kolejar-skim mundurze. Wróci jako triumfator, na rydwanie swej obszernej, stuzakładowej, kraciastej spódnicy.

— Oni tylko krytykują innych, a sami nie robią dobrze. U nas nikt nie chce robić dobrze? Każdy tylko myśli o wyjeździe za granicę, żeby tam marry, dolce... To nie jest w porządku. Ja nigdy nie wyjadę. Każdy powinien robić jak należy, a nie tak...

— Nie, ten studenci nie mówią źle. Nie mam im przeciwko niemu, ani jego argumentom. Jest po prostu zielony; trochę naiwny, trochę głupi. Patrzę na to pokolenie, podobno bez zyciorysu. Z łatwością mogłabym to zmienić, wystarczy tylko sięgnąć bliżej niego, na pustym miejscu cioci i znienska trzaskać. To zimna, mokra żaba, omijająca przeszkodę — zamiast ją przeskoczyć. Ani nieba, ani piekła nie dosłyszczyl, o prawdziwie nie słyszał, nie zaczął o nią butem. Zanim jednak moja ręka odskoczy ode mnie, niosąc twarde, zimne miłsińskie ciosu, widzę go w ławce, w miejscu dogodnym do ściągania, w cichej klasie zapatrzonej — nie wiem i może w Halince, może nie. Pani spi po hulance, zsmordowana i przepita. Chłopaki, uwaga, bu-dzi się!

— Zapłaćcie sobie temat: „Układ nerwowy w nodze żaby”.

— Śmiech przegromny, ryk i chichot w klasie.

— Pani prko, teraz jest matematyka.

— To zapiszcie sobie temat z matematyki.

— Ale my już mamy temat z matematyki.

— To róbie zadania.

— Ale my już zrobiliśmy wszystkie zadania i siedzieliśmy cicho, żeby pani nie przeszkadzać.

— Wyśladz robotnik, który pił piwo. Wcisnąm się w swój kąt, ale wdzierający się nie wiadomo kądery chłód nie pozwala zasnąć.

— Jestem prokuratorem — mówi długonogi z przeciwległego kąta.

— Jutro będę oskarżał człowieka o kradzież. Są to pieniądze państwowe, spora kwota wartości nowego auta. Przyznał się do winy. Ma 31 lat, młodą żonę i dwoje dzieci. Pomyślał: jeśli pójdzie siedzieć, żona mu się puści i rodzina rozleci się. Jakiej kary żądał-byscie, będąc na moim miejscu?

— Dwa lata.

— Uniewinnić.

— Pieć lat.

— Jakie były motywy tej kradzieży? — pan prokurator rzuca u-ważne spojrzzenie pytającemu, ale milczy.

— Zrobił tak: ja zażądał dwu lat... — Moja wściekłość narasta czarna chmurą na oczach. Nagle wszystko się miesza. Stoję znów przed ciemnym, ponurym budynkiem. Uszy wypełnia suchy chrzęst szkła pod butami. Warczenie psa za plecami zagłusza rozmowę. To znowa przeciwko mnie. Nigdy nie byłam w sądzie, nie miałam w ręku żadnego kodeksu. Boję się prokuratorów, adwokatów, paragrafów.

— Chłopak dostanie dwa lata wazewienia.

— Budzę się z półnu. Teraz prokurator trzyma tłułą dłoń cioci.

— Czekaj panią rok bogaty w ważne wydarzenia. Płacić pani — mówi na zakończenie, 10 gr, jedną monetą.

— Samą prawdę pan mówię — ciocia jest zachwycona kabałą.

— No widzi pani!

— Proszę, mam 50 gr.

— Dla mnie tylko 10 gr.

— Proszę panią, ja nie mogę wydawać reszty.

— Teraz wszyscy patrzą na mnie. Wyczekiwanie przedłuża się. Jesz-cze chwila i mój opór załamuje się. Nie wiem dlaczego i kiedy po-daje mu dłoń.

W kręgu fantastyki

Jasna noc obejmowała w posiadanie polyskujące budowle. Bliźniacze księżycy zawisły ponad blizną, różowym ramieniem wielkiej świątyni. W jej wnętrzu kamienna podłoga polyskiwała biało. Wewnętrzne kramy kopuły skryte były w cieniu. Odgłos kroków Verronsa odbijał się głośnie echem po ścianach. Usiadł. Opierając się o kamienną, zimną ścianę otworzył szkatułkę i wybrał jeden z instrumentów. Było to coś więcej niż ozdobiony korpus z otworami na palce, ustnikiem z jednej, a rozszerzonym nieco otworem z drugiej strony. Metalowy cylinder był zimny. Dla próby Verrons przytknął ustnik do warg i wdmuchnął powietrze.

Przed oczyma zamigotała chmura oszalałych barw. Verrons unosił głowę ku górze. Figury i wzory na kopule zapłonęły ogniem i poruszyły się. Światlane kręgi obracały się, zmianom ulegały geometryczne kształty, kolory i linie rozlewały się i płynęły z hipnotyzującą płynnością. Spoglądając w górę, o mało nie zapomniał o instrumencie, który trzymał w dłoniach i o tym, że przed chwilą ożywił go swoim oddechem. Miał jedynie świadomość wirowania sufitu oraz wolnej przemiany świetlistej chmury w postać.

Nie była to jednak bezkształtna, błękitna istota, którą ujrzał wczorajszej nocy. Teraz miał do czynienia ze zjawą, która pełnym wdzięku ruchem zarzuciła na siebie resztki swej chmury niczym delikatną, jedwabną suknię. Posuwała się w poprzek podłogi na wąskich stopach zakończonych długimi palcami. Jej świetlne, przejrzyste szaty nie skrywały niczego, lecz jej ciało, będące naturalnym schronieniem tej istoty, nie przewokowało do grzesznych myśli. Twarz, pionowo osadzone oczy, nabrzmiałe usta — stanowiły wyzywającą kompozycję złocistego światła. Oddzielna chmura światła otaczała głowę feeria wszystkich możliwych barw tęczy.

Verrons grał. — Wysoko przed nim, wewnętrzna strona kopuły nabrała rozmiarów nieboskłonu, jego głębi i niespodziewanej ciemności. Światne kręgi ciągle wyrastały z kopuły i tworzyły luk niczym bramę donikąd, polyskujące geometryczne kształty płynęły nieprzerwaną kaskadą rozszalałych barw.

Chaos ten oszalał Verronsa coraz bardziej. Jego instrument mienił się kolorami, których nigdy nie widział i których nie widział i teraz, lecz czuł jedynie w palcach koniuszki palców. Z głębi tego chaosu ponownie wyłoniła się postać. Wystrzeliła gwałtownie w powietrze. Przeszybowała bezszelnie przez nieprzenikniony mrok, rozluźniła swe ciało i przywarła do odległej części czarnej powierzchni kopuły. Jej ramiona i nogi wydłużały się coraz bardziej. Zawisła tam przymglona nieco i rozrzedzona. Nagle zwarła na powrót swe ciało i stała się oslepiająco jasna na tle czarnego nieboskłonu kopuły. Zarzuciła się. Jej członki rozbiegły się, eksplodowały. Falując, rzuciła się w dół, pokonując odległość dzielącą ją od Verronsa.

Verrons przynięciony był ogłupiająco jasnymi kształtami. Złocista postać rzuciła się drapieżnie na niego, jakby pragnęła spenetrować jego wnętrze. Przeniknęła go, po czym wyłoniła się w oddali. Ponownie wystrzeliła w górę, niosąc na swych skrzydłach żywe, świetlne kształty, rozkazując im i ujarzmiając je. Uczyniła z nich unoszącą się w powietrzu piramidę. Potem popędziła je na powrót ku dołowi. Figury rozplaszczyły się na posadzce świątyni, zrezygnowane jakby i uległe.

Podpłynęła bliżej. Słowa jej dotarły do świadomości Verronsa.

— Żyję znowu w granicach twego życia. — Muskularne palce jej stóp napięły się, zwinęły. Palce rąk falowały w powietrzu.

Verrons, w pełnym napięciu wysiłku, usiłował wykrzusić z siebie jakieś słowo. Zamiast nich rozległ się ze wzmoczoną siłą dźwięk fletu.

Pojaśniała, jej kształty stały się wyraźniejsze.

— Czekalam zakiecia w światło. Czekalam, by znów móc żyć twym życiem, twoją siłą. Teraz żyję. — Zwawo rzuciła się do tyłu.

Niespodziewanie pojawiła się druga chmura. Falująca jasność uległa transformacji w drugą świetlną postać, ciemną, ostrą, pełną mocy. Długo poruszała się — na grubych palcach stóp, zbierając wokół swego ciała resztki świetlanej chmury. Potem, falując, rzuciła się w górę wirując z ogromną szybkością.

Verrons usłyszał głośnie westchnienie. To stojący obok Winchell pochylił się nad szkatułką z fletami, przycisnął błyszczący instrument do ust. Verrons spoglądał na swego młodego asystenta bezradnie, niezdolny do żadnego ruchu.

— Czekalam.

Rozrżnięty, pozwolił by flet wypadł mu z rąk. Jego złota tancerka zniknęła we mgłę.

SYDNEY J. VAN SCYOE

Pieśń śmierci (fragmenty)



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Verrons zacisnął ponownie usta na instrumencie i z całej siły zaczął grać. Rozjaśniała na nowo, oczy jej rozblizły zieleń. Pełna radości wystrzeliła ponownie w górę...

Nagle Verrons zdał sobie sprawę z obecności trzeciej świetlanej postaci, błękitnej zjawy z wczorajszego dnia. Wyłoniła się nagle z powietrza, rozbiła całą krawędź światła, przyłączyła się do dwóch pozostałych.

Olbryzim wysiłkiem woli, Verrons odwrócił wzrok. Piątka tubylców tłoczyła się w odległości dwóch metrów. Najwyższy dał w swój instrument. Pozostali robili to samo. W ich oczach odbijało się światło — złote, fioletowe, błękitne.

Po jakimś czasie trzy postacie oddzieliły się od siebie. Postać wywołana przez Verronsa, przyjmując swą pierwotną formę, rzuciła się na ścianę ponad jego głowę, by chwilę później wypłynąć ze ścianą po przeciwnej stronie. I zatrzymała się przed nim.

— Gdy miałam ciało, biegłam po kamieniach, aż palce moich stóp stały się jak sprężyny. Latałam z iskrami we włosach, a między oczyma nosiłam klejnot, który skupiał światło i rozszepiał je na promienie, a one były jak miecze.

Umysł Verronsa zalany został potokiem światła. W jego świadomości wtargnęła wizja postaci biegnącej po kamiennym chodniku, ciągnącej za sobą rzuwaną, ulotną i roziskrzoną grzywą. Rzuciła mu ulotne spojrzenie i poznał linię jej ust i oczu. Ale zamiast światła, jej ciało było prawdziwe, gibkie, brązowe. Gdy odwróciła się po-

nownie, jej oczy były zielone, prawie tak samo, jak klejnot osadzony między jej oczyma.

Jednym skokiem wzbija się w powietrze. Lecieli ponad miastem szklanych budowli rozmieszczonych na płaskowyżu, otoczonym ze wszystkich stron gęstą, wilgotną dżunglą.

— Leciłam, ale moje siły nie dojrzały jeszcze. Wyładowałam więc — rozczarowana. Wiedziałam, że odzyskam siły, ponieważ odziedziczyłam je po rodzicach. Mój ojciec niejednokrotnie przemierzał płataniny dżungli i pustynie, a mimo to w klejnotcie jego ciagle blyszczało całą mocą światła. Moja matka latała na dużych wysokościach, aż pewnego dnia została stracona przez piorun. Wiedziałam odtąd, że moim przeznaczeniem jest szybować po niebie.

— Leciłam.

Ponownie unosiła się w górę. Tym razem ich podróży trwała dłuższy czas. Pędzili na niewidocznych prądach powietrza, jej czule palce dotykały i pie-

tyłu wtopiła się w kryształ, zła się z nim, aż pozostała ledwie złocista plamka, gdzieś głęboko pod jego polyskującą powierzchnią.

Wyłoniła się raz jeszcze. Ale gdzieś w głębi kryształu zamieniła ponownie ciało na światło. Jej włosy stały się promienistą chmurą.

— Jestem!

Była. Szybowała wokół kopuły, polyskując w ciemnościach, jak zwirowane słońce. Cofnęła się.

— Gdy miałam ciało...

Verrons śledził ponownie jej drogę poprzez kryształ. Przeżywał z nią jej rozpaczliwe poszukiwanie towarzysza, jej szaleńcze próby sprowadzania samców, jej ostateczny wybór. Potem dwa brązowe ciała szybowały w przestworzach, ścigały się i pedziły, zielony klejnot i czerwone polyski. Szarpane wiatrem bóstwa, iskrzące, pomieszczone grzywy, złączone, pedzące ciała. Rozdzieliły się, powracając do samych siebie.

Verrons przeżywał razem z nią miesiące brzemienności. Potem poleciała do jaskini, gdzie wyrzuciła ze swej rozdartej macicy cztery istoty i ichnęła życie w ich usta. Wyłoniła się, gdy cała czwórka oddychała już. Wówczas udała się na poszukiwanie istoty niższej, która mogłaby je wykarmić.

Rosli. Pierwsze włosy pojawiły się na ich głowach, ale tylko jedno z nich miało zadatki na grzywę mocy. Rozświetlała chmury, wyładowując energię w powietrzu. Potem wzbijała się w ciemność, gdzie porzuciła pozostałą trójkę. Poszybowała z powrotem, bez oglądania się za siebie.

— Niech weźmie je którykolwiek ze zwykłych śmiertelników, jeśli zechce. Niech je wychowuje na zamiataczy, sprzątaczy, niańki i służących. Z ich martwymi włosami i pozbawionymi mocy umysłami — nie mogą być moimi dziećmi.

Jedynie córce poniosła do nieba. Z dzieckiem na ramieniu przemierzała przestrzeń. Gdy powróciły, oczy córki jarzyły się czerwienią. Była to barwa klejnotu osadzonego pomiędzy oczyma dziecka w rocznicę jego urodzin.

— I nosiłam mą córkę wysoko i uczyłam ją. I uczuliśmy siłę przepływającą między nami, przetrwanie rodu...

Verrons był świadkiem wydarzeń następujących lat jej życia, pełnych lotów i pościgów, i zwycięstw jej ciągle rozwijającej się mocy. Zdobywał z nią kawałek tej części świata, którą uważała za swoją. Maluczy, zwykli śmiertelnicy, bez klejnotów śmiertelniczy, bez usługiwali jej, sprząkali — i gdy błyskała w ich oczy zielonym światłem swego klejnotu, krzyżeli i błagali o dalszą służbę.

— Gdy miałam ciało...

Gdy tak przeżywała rok po roku, mrok Verronsa zanikał. Dźwięk jego fletu stał się nieczysty, jego ciało bezwładne. Ale nie było żadnego sposobu, by powiadomić ją o tym stanie. Aż wreszcie opanowała ostatecznie, przytłumioną cząstkę jego mózgu. Latała, rozkazywała, panowała, falowała. Potężna. Ostatkiem sił Verrons dał w instrument.

W końcu poddał się. Flet wypadł z hałasem z jego rąk. Stracił świadomość.

Czas wydawał się być studnią — bez dna, czarna, zdradliwa. Na próżno, chaotycznie walczył z jej ścianami. W jakiś czas potem przywołał go do świadomości zniecierpliwiony głos Winchella. — Komentandancie, musimy już wracać, do obozu.

Verrons otworzył rozbiegane oczy. Leżał na boku na zimnym kamieniu. Z pomocą Winchella usiadł. Flet leżał obok niego...

Przełożył: M. K.

Nagrody dla tych, którzy podadzą swój adres

Co chcesz czytać na tej kolumnie?

ANKIETA DLA MIŁOŚNIKÓW SF

Chcąc poznać gusta naszych Czytelników, postanowiliśmy przeprowadzić ankietę. Na podstawie jej wyników łatwiej będzie nam dobierać materiały do kolumny fantastyki tak, aby zadowolili jak największą liczbę zwolenników tego gatunku. Pozwoli to również zorientować się, jak Czytelnicy oceniają dotychczasowy profil kolumny, gdyż chcemy, aby i odbiorcy mieli wpływ na to, co pojawia się pod szyldem „W kręgu fantastyki”.

Ankieta przygotowała współredagujący kolumnę łódzki oddział Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki, również fundator nagród. Bawcie się, którzy zechcą, mogą wziąć udział w losowaniu nowości wydawniczych sf (Iskry, Czytelnik) — wystarczy tylko podać swe nazwisko i adres (patrz punkt XIX). Można też nadsyłać odpowiedzi anonimowo. Wtedy nie bierze się udziału w losowaniu nagród.

Ankiety należy nadsyłać pod adresem redakcji „Odgłosów”: 90-438, al. Mickiewicza 11, z dopiskiem: „Ankieta SF”, do dnia 20.X.83 r.

- I. Płeć K/M
 II. Wiek
 III. Wykształcenie
 IV. Wykonywany zawód
 V. Mieszkam w:

- A — miasteczko powyżej 500 000 mieszkańców
 B — miasteczko od 50 000 do 500 000 mieszkańców
 C — miasteczko poniżej 50 000 mieszkańców
 D — na wsi

VI. Poza sf interesuję się również

- VII. Sł interesuję się od:
 A — czasów szkolnych
 B — czasu studiów
 C — „.....”
 D — nie interesuję się

VIII. Należę do organizacji lub klubów miłośników fantastyki (jakich?)

- IX. Kolumnę fantastyki czytuję:
 A — regularnie
 B — od czasu do czasu
 C — przeglądam

X. Spośród innych rubryk „Odgłosów” oraz zamieszczanych w nich tekstów, „W kręgu fantastyki” moim zdaniem:
 A — jest najmniej ciekawa
 B — niczym się nie wyróżnia
 C — wyróżnia się
 D — jest najciekawsza

XI. Aktualna objętość rubryki (i kolumny) jest:
 A — wystarczająca
 B — nie wystarczająca
 C — zbyt duża

XII. Jeśli jest nie wystarczająca, proponuję poszerzenie do

XIII. Jeśli jest zbyt duża, proponuję ograniczenie jej do:

- XIV. Najbardziej odpowiadają mi:
 A — opowiadania polskie
 B — tłumaczenia
 C — recenzje literackie
 D — recenzje filmowe
 E — szkice z zakresu teorii literatury sf
 F — szkice z zakresu teorii filmu sf
 G — artykuły popularnonaukowe (filozofia, astronomia, itp.)
 H — artykuły paranaukowe (paleoastronautyka, futurologia, UFO, itp.)
 I — kronika wydarzeń w ruchu sf w Polsce i na świecie

XV. — Preferuję:
 A — opowiadania kończące się w tym samym numerze
 B — dłuższe formy w odcinkach

XVI. Proponuję poszerzenie kolumny o następującą tematykę (następujące formy)

XVII. Z dotychczas publikowanych tekstów najbardziej podobało mi się (wywarło na mnie największe wrażenie):
 A — opowiadanie (jakie?)
 B — szkic
 C — inne

XVIII. Inne uwagi nie ujęte w wyż. wym. punktach:

XIX. Jeśli chcesz wziąć udział w losowaniu nagród, podaj w tym punkcie swoje imię, nazwisko i dokładny adres:

Kosmostworki Andrzeja Biedrzyckiego



1

Zdarzenia i zwierzenia

Anoda i katoda

Parę refleksji wywołał we mnie opublikowany niedawno w prasie codziennej artykuł na temat wizerunku duchowego przeciętnego Amerykanina. Znajdujemy w tym tekście wiele — znanych zresztą — informacji i ocen poziomu intelektualnego przeciętnego Amerykanina. Ani oceny nie są wysokie, ani informacje zbyt zachęcające. Pisze tam: „Jak wynika z ankiet i badań większość Amerykanów ma poważne trudności z prawidłowym posługiwaniem się mową i piśmem”. Dalej czytamy: „40 procent uczniów amerykańskich szkół średnich uważa, że ludność USA równa się łącznemu zaludnieniu Chin i Związku Radzieckiego”. I na koniec informacja, że w stanie Minnesota spalono na stosie, jako książkę szkodliwą, egzemplarz pięknej i głęboko humanistycznej powieści Harpera Lee „Zabić drożdża”.

Oczywiście wszystkie te informacje są prawdziwe, tylko, że, suplementem do tego artykułu mógłby być tekst na podobny temat — dotyczący przeciętnego Polaka.

Jakie trudności z posługiwaniem się mową i piśmem ma przeciętny Polak wiemy z codziennych rozmów i listów do redakcji. Nagminnie też popełniają błędy gramatyczne występujące w radiu i telewizji ludzie zawodowo przecież posługujący się polszczyzną. Przeciętny Polak nie ma powodu ubolewać nad stanem duchowym przeciętnego Amerykanina ponieważ obaj mają te same problemy.

Mój szkolny kolega twierdzi na przykład z przekonaniem że USA jest krajem katolickim i w dodatku nie ma tam rozdziału Kościoła od państwa — a na temat liczebności USA ma takie samo zdanie co amerykańscy uczniowie. Nauczyciele co prawda mieliśmy dobrych, ale mój szkolny kolega nie przeczytał od skończenia edukacji ani jednej książki, a w gazetach czytuje tylko sport i tytuły. Jak wiadomo nie jest w tym odosobniony. To samo zdanie dotyczy zarówno Polski, jak i Ameryki.

Chciałbym również przypomnieć, że wiosną 1981 roku pewna polska organizacja zorganizowała na Starym Rynku w Warszawie publiczne palenie książek, które ta organizacja uważa — równie apodyktycznie co niekompetentnie — za szkodliwe. A więc kropka w kropkę to samo co w amerykańskim stanie Minnesota...

Jestem zatem przeciwny publikowaniu takich demagogicznych artykułów o „wizerunku duchowym przeciętnego Amerykanina”, bowiem — niezależnie od intencji autora — służą one podbijaniu bębna rodzimego szowinizmu i nie przynoszą chwały propagandzie.

Melchior Wańkowicz głosił zasadę „anody i katody” — postulując, aby każdy problem nasświetlać z dwóch przeciwstawnych stron.

Zgodnie z tą zasadą opublikował jednocześnie „Szczeni-

ce lata” — apologię kresowych dworów swojego dzieciństwa oraz „Opierzona rewolucja” — apologię dokonanej przez radzieckiej w początkach lat trzydziestych. Potem pisząc o polskim czynnie zbrojnym w czasie drugiej wojny światowej przedstawiał z jednej strony romantyczny zryw majora Hubala — z drugiej zaś rzetelny rachunek zysków i strat majora Sucharskiego z Westerplatte. Jeśli pokazywał heroizm polskiego żołnierza pod Monte Cassino — to jednocześnie pokazywał „kundlizm”, małość i gupotę polskiej emigracji politycznej.

Myślę, że to jedyny sensowny sposób patrzenia na historię i otaczającą nas współczesność. Stosując te zasady dopisałem do wizerunku Amerykanina parę faktów pozwalających spojrzeć także na duchowy wizerunek przeciętnego Polaka. Wznowe i intelektualne problemy mamy, jak widać, podobne. Ma je zresztą cały ten zwirowany świat.

JERZY WILMAŃSKI

3

Nagle zastępstwo

Lodzer-mensch

Usłyszałem niedawno w tramwaju rozmowę dwóch młodych — chyba w studenckim wieku — mężczyzn, z których jeden powiedział o sobie — jestem Lodzermensch!

Z rozmowy niedwuznacznie wynikało, iż ów młody człowiek nie ma co naprawdę znaczy (a raczej znać) słowo „Lodzermensch”. Pozostając w przekonaniu, że młody człowiek wcale nie jest wyjątkiem, pozwolił sobie na mały wykład historyczno-socjologiczny dla młodszych czytelników.

Otóż Lodzermensch (po niemiecku — łodzianin, po prostu...) to nie jest wcale termin geograficzno-demograficzny, a raczej społeczno-kulturalny. Nie jest to łodzianin w rozumieniu potocznym, mieszkaniec Łodzi. Nie oznacza też Lodzermensch łodzianina pochodzenia niemieckiego. Klasykny Lodzermensch z przelotu dziewiętnastego i dwudziestego stulecia był Niemcem, był Żydem, był Polakiem. Bywał także Turkiem, Ormianinem, ba! Francuzem lub Anglikiem. Przyjeżdżał do Łodzi z żydowskiego miasteczka Zachodniej Ukrainy, przychodził piechotą ze Śląska lub Saksonii, ścigał z mazowieckich, małopolskich i wielkopolskich wsi.

Jeśli zaczynał w Łodzi pracować i nadał kłepał biędo, to wcale nie był Lodzermenschem! Lodzermenschem stawał się dopiero w momencie, kiedy zaczął się orientować, że Łódź to wielkie Eldorado dla cwaniaków i zaczął z tego spostrzeżenia wyciągać praktyczne wnioski. Ze tu, w Łodzi, można ugrać i zarobić, że tu można dużo mieć! Mieć dużo, nawet bardzo dużo, tylko trzeba właśnie być Lodzermenschem — mieć określoną moralność i mentalność. Mentalność cwaniaka i moralność złodzieja.

Byli wielcy Lodzermensche — Scheibler, Poznański, John. Byli Lodzermensche mali — prowadzili lombardy i knajpy, handlowali bawełną, złotem i ludźmi...

Lodzermensch — to był ktoś! Moryc Welt w „Ziemi obiecanej” mówi do współnika:

— Ty nie jesteś Lodzermensch, ty masz skrupuły. Prawdziwy Lodzermensch to jest Borowiecki. Uj, jaki on jest Lodzermensch!

W kręgach samych lodzermenschów określenie to było najwyższym komplementem.

Wkrótce jednak, w miarę jak zwolna podnosił się poziom kulturalny mieszkańców miasta, jak przybywało inteligencji, jak chłopka masa produkująca w łódzkim przemyśle przekształcała się w klasę robotniczą zdobywającą świadomość własnej tożsamości, słowo „Lodzermensch” zaczęło nabierać znaczenia pejoratywnego. Lodzermensch to był nowobogacki, to był koltun łódzki, to był tutejszy Dulski. Mieszkał w straszliwym, eklektycznym domu (Mnie stać na wszystkie style — miał powieździec architekciowi, któryś z łódzkich królów bawełny), czytał tylko biblię albo talumud i doniesienia giełdowe, był nieludsko skąpy lub po nuworzowsku rozrzutny.

Takie właśnie znaczenie słowo „Lodzermensch” spetryfikowało się w okresie międzywojennym. W latach trzydziestych było już niemal obelgą. Zresztą nie tylko w Łodzi.

Po drugiej wojnie światowej, słowo właściwie przeszło do historii, tak jak do historii przeszedł sam dygnat. No, może egzemplarze Lodzermenscha znalazły się w powojennym światku „nepmanów” — handlarzy i spekulantów. Nie była to już jednak specyfika łódzka.

Można mieć pewne obawy, czy w naszych czasach nie wykluje nam się ze zgnitego laja kryzysu jakiś współczesny typ Lodzermenscha. Są pewne oznaki, że to jest możliwe. Charakterystyczną cechą tego typu jest bowiem to, że karmi się niedostatkiem, inflacją i zdziaczalym rynkiem...

Póki co, niechże młody łodzianin nie mówi o sobie „Lodzermensch”, bo nieświadomie obraża sam siebie.

Chyba, że chce w ten sposób nawiązać do najgorszych tradycji i manifestować swoją amoralność i brak kultury...

ANDRZEJ KAROL

2

Lewym okiem

Pliszka obok drogi

Janusz Przymanowski wystąpił na łamach „Trybuny Ludu” o wyższe honoraria autorskie dla literatów. Mało kto wie, że pisarz w naszym kraju otrzymuje za powieść średniej wielkości, nad którą pracował

dwa lata, sumę pozwalającą mu nabyć czwartą część dywanu do pokoiku w jego M-3. Nic nie przesadzam. Dywan 2X3 metry kosztuje 600 tysięcy złotych. Pisarz otrzyma za powieść sto pięćdziesiąt, z czego jeszcze potrąca mu podatki.

Wystąpienie Przymanowskiego odnotowano w tygodniku „Tu i Teraz” z komentarzem: należy pisać dwie książki na rok, a nie jedną na dwa lata! „Panowie, jesteśmy zbyt leniwi! — pisze ktoś, podpisany cyferką 211. — W porównaniu na przykład z pisarzami francuskimi jesteśmy o wiele za leniwi!”

Nie wiem ile książek rocznie produkuje pracowity pan dwięście jędenaście. Co do francuskich czy jakichkolwiek pisarzy można wziąć do ręki jakąkolwiek bibliografię i sprawdzić, czy wiek produkcyjny dowolnego autora podzielony przez liczbę wydanych przez niego tytułów da w ilorazie połówkę. Ręczę w ciemno, że prawie zawsze wypadnie dużo więcej, to znaczy: parę lat na tytuł. A za niejedną taką tytuł wcale nie światowej arcyklasy buduje się wille i jezdzidookoła świata. Może więc lepiej nie zawstyżać nas Francuzami.

Jak na mój gust — to lepiej też byłoby unikać strójującego tonu — takiego z pozycji faceta, który wie lepiej — a zwłaszcza unikać sformułowań w rodzaju: „Zapewne redaktorzy „Książki i Wiedzy” legitymują się dyplomami magistrów. Ciekawe, kto im je wydał!” Okrzyk taki został wzniesiony w tymże „Tu i Teraz” przez Pawła Wieczorkiewicza, a powodem rozdarcia szat było użycie w jednej z książek nazwy Pearl Harbour zamiast — jak chce Wieczorkiewicz — Pearl Harbor.

Ta jedna literka kompromituje — zdaniem Wieczorkiewicza — wydawcę ośnośnej książki i dyskwalifikuje jej tłumacza i redaktora, a nawet profesorów, którzy dawali redaktorowi dyplom. „Co gorsza — pisze Wieczorkiewicz i przytacza błędy w transkrypcji słów i nazw japońskich. W książce „Od Pearl Harbour do Hiroszimy” użyto mianowicie słów: „slogun”, „Todzio”, „Hiroshima” — zamiast „szogun”, „Tojo”, „Hiroszima”. A może to nie błędy? Pamiętaj, jak Janta Polczyński znajdując dobrze Japonię z autopsji, upierał się właśnie przy miękkiej formie „slogun” itd. i takiej właśnie formy używał w słynnym japońskim numerze „Wiadomości Literackich” z 1938 roku.

W tymże numerze tygodnika literackiego Jan Koprowski, świetny znawca piśmiennictwa niemieckojęzycznego, pisze: „Wieczór spędziłyśmy w Klubie Dziennikarzy przy Friedrichstrasse w sąsiedztwie kabaretu „Distel” („Jeż”). „A przecież „Distel” to nie jeż, tylko oset. I w tym samym numerze Feliks Szczygłowski w recenzji z książki Miodraga Bulatovića „Tyrania” udaje, że odkrywa tego jugosłowiańskiego autora dla publiczności polskiej, że nie jest on wcale znany na naszym rynku — a to wrzeszcząca nieprawda. Książki Bulatovića znane są i popularne, tłumaczono ich wiele, były rozchwytywane jak ciepłe bułki. Jak może o tym nie wiedzieć krytyk, człowiek czytający z profesji, zobowiązany do lepszej w tym zakresie wiedzy niż czelniczy tygodnika?”

Jak może nie wiedzieć krytyk Agnieszka Baranowska, że Hlakowiczówna napisała głosną kiedyś broszurę o Pilsudskim pt. „Ścieżka obok drogi”, a nie „Pliszka obok drogi” („Tu i Teraz” z 3.VIII. br)?

Nikt w redakcji tygodnika literackiego nie wiedział nikt nie potrafił skorygować?

Może to wszystko nie jest aż takim fatalnym błędem, jak Pearl Harbour zamiast Pearl Harbor. Może znajomość niuansów ortografii amerykańskiej w odróżnieniu od angielskiej powinna przede wszystkim innym ważyć na zdobyciu dyplomu magisterskiego. Może. Ale skoro na wszystkich od-cinkach wołamy wielkim głosem o podniesienie jakości pracy to nie zapominajmy też o pracy publicysty.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

4

Sport

Dwaj trenerzy

Obaj znani, z pracą obu wiążemy duże nadzieje, ale też i wyniki każdy z nich ma różne. Ale może wszystko po kolei.

Polscy siatkarze — jak wiemy, są wicemistrzami Europy i dlatego nie muszą się już martwić o start w Los Angeles na olimpiadzie. Zagwarantowali sobie ten start zdobyciem wicemistrzostwa w NRD. Teraz muszą się dobrze przygotować do walki o tytuły na olimpiadzie. Droga do tych przygotowań ma być obóz w Nysie, a następnie wyprawa do Ameryki Północnej (USA i Kanada), gdzie spotkają się z zespołami z obu części amerykańskiego kontynentu.

Nim jednak polscy siatkarze pojechali do Nysy, odbyło się spotkanie w GKKFIS, gdzie wicemistrzom Europy wręczono srebrne medale „Za wybitne osiągnięcia sportowe”.

Uroczystość jak każda inna. Jest to już zwyczaj, że nagradza się za osiągnięcia na międzynarodowych boiskach. Tym razem jednak było trochę inaczej, gdyż — jak to napisał sprawozdawca „Expressu Wieczornego” — podziękowanie Huberta Wagnera „jak zwykle było nieszablonowe”. On po prostu — zamiast podziękować za odznaczenia i zapewnić, że dołoży starań i będzie robił wszystko — powiedział, co mu się nie podoba.

Nie podoba mu się, że GKKFIS pozwala wyjeżdżać do zagranicznych klubów nie najlepszym zawodnikom, jak to było już raz ustalone, a przeciwniakom. Nie podoba mu się dalej, że obiecano dać siatkarzom 30 proc. więcej stypendium, jeśli awansują do Los Angeles i nie dano. Nie podoba się mu także, że w GKKFIS składa się różne obietnice, deklaracje, zapewnienia, których się później nie dotrzymuje. Jeśli będzie się tak dalej postępowało — oświadczył Hubert Wagner — to „nie widzę możliwości pracy z kadra”. Przypomnijmy sobie, co się na ogół dzieje z polskimi siatkarzami, kiedy przestaje się nimi zajmować Hubert Wagner.

Antoni Piechniczek jest trenerem innego rodzaju. Nie mam zamiaru przeciwstawiać Huberta Wagnera Antoniemu Piechniczkiowi i odwrotnie. Ale

nazwisko Antoniego Piechniczka jest tak samo związane z sukcesem polskiej piłki nożnej, jak nazwisko Huberta Wagnera z sukcesem polskich siatkarzy. I to ich łączy, choć bardzo wiele ich dzieli.

Mimo, że nazwisko Antoniego Piechniczka związane jest — podobnie jak i Kazimierza Górskiego — z sukcesem polskiej piłki nożnej, to i jemu — podobnie, jak i jego poprzednikom — nie udało się wygrać eliminacji do mistrzostw Europy. Na szczęście przygotowaniami do olimpiady zajmuje się Waldemar Obrebski, a więc buduje inny zespół, w którym — niestety — gra też kilku zawodników powoływanych do pierwszej reprezentacji przez Antoniego Piechniczka. Czyżby w Polsce brakowało dobrze zapowiadających się młodych piłkarzy, na których warto byłoby postawić i którymi warto byłoby się poważnie zająć?

Bo popatrzmy prawdzie w oczy. Antoni Piechniczek nie ma w tej chwili drużyny. Drużyna, którą kierował i z którą zdobył trzecie miejsce w mistrzostwach świata w Hiszpanii, dawno już nie istnieje. Nowej na jej miejsce jeszcze nie ma. Kiedy będzie — nie wiadomo. Ale przecież od dawna wiadomo, że po mistrzostwach świata rozpływają się drużyny i tak dzieje się nie tylko u nas. Czyż nie należało zatem, już znacznie wcześniej zacząć budować drugi zespół, drużynę następców, która teraz mogłaby bronić honoru trzeciej drużyny z Hiszpanii? Tak się nie stało. I nie wiem, czy zespół Waldemara Obrebskiego spełni teraz taką rolę, przygotowywany jest bowiem dla innych celów. Ale może będzie to początek jakiejś długofalowej polityki przygotowywania kadry piłkarskiej.

Niedzielną (9 października 1983 r.) mecz w Moskwie pokazał z całą wyrazistością braki polskiej drużyny. Nasi piłkarze potrafili tylko przez 6 minut grać z jakimś planem, później już tylko byli obecni na boisku. Dobrze, że skończyła się przegrana tylko dwoma bramkami.

I tu mam pytanie. Co w ogóle robił na boisku w Moskwie Zbigniew Boniek? Czyż nie szkoda było jego czasu i zdrowia? Dużo lepiej zrobiłby pozostając w Turynie. Zbigniew Boniek nie grał przecież w polskim zespole w meczu z Rumunami, kiedy to debiutowało kilku zawodników z obecnego składu kadry. Ani oni z Bonikiem, ani Zbigniew Boniek nigdy razem nie grali. I to w Moskwie było aż nadto dobrze widać.

Brak Zbigniewa Bonika w Krakowie, w meczu z Rumunami, może podsunąć przypuszczenie, że Antoni Piechniczek nie miał zamiaru angażować asa z Turynu. Ponoć — jak pisze w „Piłce Nożnej” Roman Hurkowiak — Michel Platini pytał Zbigniewa Bonika, dlaczego nie jedzie do Krakowa na mecz, skoro gra kadra, ale Boniek mógł tylko wzruszyć ramionami, bo nie wiedział co powiedzieć. Może się więc narodził podejrzenie, że Antoni Piechniczek nie chciał, aby doszło do konfrontacji umiejętności Zbigniewa Bonika z umiejętnościami piłkarskimi naszej kadry. Ale niespodziewane kontuzje przetrzebiły zespół i do takiej konfrontacji doszło. Wygrał Boniek. Widzieliśmy to na ekranach telewizorów.

No i teraz trzeba wszystko zaczynać od nowa. Czy nasza reprezentacja awansuje do finałów mistrzostw świata w 1986 r.? To już tylko trzy lata.

BOGDA MADEJ

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Doroczyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karol (sekretarz redakcji), Jerzy Kwiecinski, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki (kierownik), Andrzej Maciejowski (z-ca sekretarza redakcji), Tomasz Sas (z-ca redaktora naczelnego), Igor Sikiryczki (kierownik działu literackiego), Karol J. Strycki, Janusz Szymanski (grafik), Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wrońska, Mirosław Zaidler (fotoreporter).

Stałe współpracownicy: Jacek Białecki, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasprkiewicz, Włodzimierz Krzeminski, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Pauasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy”, al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438 Łódź. Telefon: sekretariat i redakcja 652 44, sekretarz redakcji 680 89. Redakcja nie zamawia regonów nie zwraca, bucji i załączników. — Instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych przynależnych do województwa łódzkiego, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych Oddziałach. — Instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” i na terenach wiejskich prenumeratę: osoby fizyczne pocztowych i u doręczycieli 3 dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorem: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; — osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawców oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratę w urzędach pocztowych „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch” 3. Prenumeratę za zleceniem wysyła za granicę przy pomocy RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Centrala Kółportu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153 301045 198 11. Prenumerata ze zleceniem wysyła za granicę przez zwykłą list droższą od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następnego — do dnia 15 listopada na 1. lutowego okres prenumeraty roku bieżącego. Wydawca: Różnolita Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch” Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96 kod 90-103 Łódź. Druk: Drukarnia Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Aiunil Czerwo nej 28, Nr Indeksu 36762. Zam. 3674 L-14

Rewolucja seksualna nie przyniosła ludziom szczęścia. Mężczyźni i kobiety wyrzadzili sobie nawzajem krzywdę i dziś odczuwają potrzebę odpoczynku.

Jeszcze wczoraj odbywanie stosunku miłownego było powinnością. Hańba temu, lub tej, którzy uchylali się od obowiązku doznawania rozkoszy seksualnej. Należało zapewnić sobie przynajmniej gwarantowaną przeciwną w tej dziedzinie, aby nie uchodzić za nędzarza. Wydaje się jednak, że obecnie ten przymus powoli przestaje obowiązywać. Kiedy zahartowany w bojach podrywacz oświadcza: „Zmieniłem się. Koniec wielkiego żarcia, przechodzę na chleb i wodę”, kiedy niektóre kobiety wyrzekają się pigułki, zaś encyklopedia miłości nie mająca nic wspólnego z pornografią staje się bestsellerem, są to wyraźne symptomy ewolucji. Ludziom przysła ochota na przerwę.

Zaden z ruchów wywoleńców, które wstrząsnęły światem w drugiej połowie XX wieku, nie zbulwersował tak głęboko obyczajowość jak rewolucja seksualna. Antykoncepcja, zmieszenie wszelkich tabu, uznanie prawa do uciech zmysłowych — wszystko to stworzyło warunki do pojawienia się nowej mentalności seksualnej. Nie przybrała ona jeszcze zadowalających form. Poszukuje samej siebie wśród prób adaptacji, naszych doświadczeń, nauk, jakie z nich wyciągamy i korekt, które wprowadzamy, kierując się instynktem. Przeżyliśmy różne etapy. Najpierw bunt, później gorączkowy, wilczy apetyt, którego karykaturalnym obrazem był film „Opalen!”. Ta faza dobiega końca. Z większym rozmysłem i umiarkowaniem zaczynamy studiować subtelności „spokojnego seksualizmu”.

To określenie zawdzięczamy Cofremca — Instytutowi badawczemu z zakresu nauk społecznych stosowanych, który tropi i analizuje zmiany socjokulturalne we Francji. Według oceny tego instytutu, w ciągu 8 lat (1974—1982) liberalizmem seksualnym objętych zostało jakieś 8 milionów ludzi. Instytut zaobserwował również, że nurt ten, nie tracąc ze swej żywotności, podlegał stopniowemu przemianom. Emancypacja trwa, lecz już nie tak wielkich pogmatwań. Potwierdzenie tej tendencji Cofremca widzi w sukcesie, jaki odniosła książka „Harmonia dwojga” („Harmonie du couple”) — encyklopedia „doskonalszych stosunków miłosnych”, która ukazała się w ubr. nakładem wydawnictwa Hachette. Publikacja ta, wyrażająca pragnienie taktu, nie zaś jego naruszenie, rozeszła się w milionie egzemplarzy wkrótce po wejściu na rynek. Później pojawiły się dwa inne symptomy, wspierające tę ocenę: odejście od pigułki i powrót do cnoty czystości.

Wzięta lekarka paryska, ginekolog, Michele Barzach, z racji swej licznej klienteli wie dużo o kobietach. Jako zjawisko odnotowuje wciąż rosnącą liczbę pacjentek, które nie chcą stosować pigułki, ani żadnego innego środka antykoncepcyjnego. Obserwuje również pewne objawy niechęci do sprzeciwiania się prawom natury, a u młodszych — obawy przed fizycznym obcowaniem z partnerem. Taka postawa, nacechowana rezerwą lub negacją, prowadzi w konsekwencji do przywrócenia pojęcia ryzyka i skłania do ostrożności lub wręcz czasowej abstynencji.

31-letnia urzędniczka, Francoise F., jest jedną z tych kobiet, które przestały używać środków antykoncepcyjnych i świadomie wybrały wstrzemięźliwość seksualną. Zmęczona przelotnymi miłostkami, pragnąc znaleźć stałego partnera, wyznacza sobie czas na odpoczynek. Dr Barzach kreśli następujący typowy wizerunek takiej kobiety: ma 30—35 lat, pracuje, jest niezależna. „Korzystaliśmy z wolności, przeżyliśmy już swoje, no i dobrze — mówią one. — Ale teraz nie chcemy więcej spać z kim popadnie. Mamy dość przygód, które kończą się nad ranem”. Zdaniem dr Barzach, takie rozumowanie jest raczej wyrazem pewnej dyscypliny moralnej, niż rezygnacji. Kobiety te wstrzymują się od kontaktów seksualnych przez okres bardzo różny — od kilku tygodni do wielu miesięcy, a bywa nawet, że przez całe lata.

A oto inny „nawrócony”, 37-letni dziennikarz, Fabien, który cieszył się opinią zagorzałego podrywacza. Dziś, nie wstydząc się tego wcale, opowiada: „Ciagle jeszcze szukam kobiety, ale teraz już się nie spieszę. Jestem spokojniejszy. Niedawno spotkałem jedną, która mi się spodobała. Gawędziłem sobie i podczas tej rozmowy przekonałem się, że mamy odmienne upodobania, jeśli chodzi o książki. Dałem więc spokój”. Jeszcze niedawno najpierw poszliby do łóżka i dopiero wtedy odkryliby brak porozumienia intelektualnego, który stałby się przyczyną rozstania. Dyrektor Cofremca, Gerard Demuth, porównuje to postępowanie z nowymi zwyczajami Francuzów w odniesieniu do rozkoszy stołu. Polegają one na świadomym przepłataniu obżarstwa i diety. Podobnie miałyby się przedstawiać sprawa seksu: po nadmiarze — ściślejszy reżim.

Na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, w Kalifornii, która tak zachęca do ekscesów, wstrzemięźliwość seksualna stała się wręcz filozofią życiową, zyskującą sobie coraz więcej adeptów. Psycholog z Berkeley, Gabriele Brown, poświęciła niedawno temu zjawisku całe studium, zatytułowane „Nowa cnota czystości”. Wyraża tam opinię, że ci, którzy opowiadają się za tą nową cnotą, chcieliby uchronić się przed demoralizującymi następstwami liberalizmu seksualnego. Czystość, tak wyśmiewana przez niektórych, dla większości ma być dobroczynną kuracją. Wszyscy kładą nacisk na to, że wstrzemięźliwość trzeba zachowywać co najmniej przez pół roku, jeżeli chce się odzyskać równowagę. Jest to swego rodzaju oczyszczenie, przeciwwaga długotrwałych seansów seksualnych, które weszły w modę w latach siedemdziesiątych. Popularne w Stanach Zjednoczonych bary dla samotnych tracą obecnie klientów na rzecz instytucji religijnych, które teraz patronują zawieraniu znajomości. Dlaczego kościoły mają być lepsze niż bary? „Ponieważ pod ich skrzydłami znajomość nabiera mniej frywolnego charakteru” — odpowiada 37-letni Ben Ray, malarz pokojowy, były zagorzały klient barów dla samotnych.

Czy jednak uprawianie cnoty czystości nie jest szkodliwe dla zdrowia? Na to pytanie tak odpowiada specjalista najwyższej klasy — kierownik studium seksualizmu na uniwersytecie Los Angeles, Joshua Golden: „Nie ma mowy o jakiegokolwiek szkodliwości. Nadmiar energii zostanie uwolniony przez sny erotyczne i onanizm”. Czy wstrzemięźliwość jest pożyteczna?

Kontrrewolucja seksualna?

Tu opinie są podzielone. Irene Kassoria, specjalistka terapii seksualnej, doradczyni hollywoodzkich gwiazd stwierdza: „Jest to rozwiązanie niezdrowe. Wstrzemięźliwość jest przejawem troski lub frustracji. W każdym przypadku jest to głupia reakcja. Można oczywiście żyć bez seksu, tak jak można żyć bez spaceru w lesie, bez muzyki i bez dobrego jedzenia”. Natomiast psychiatra Roger Gould przypisuje abstynencji ogromny walor — przełamanie konkretnego mitu. „To przecież nieprawda — mówi — że każdy musi być ciągle aktywny seksualnie”. To oczywiście, ale ta ewidentna prawda zatraciła się zupełnie w wirze rewolucji seksualnej.

Przez całe tysiąclecia żyliśmy w przekonaniu, że z jednej strony istnieje dusza, z drugiej zaś — ciało. Pojęcie grzechu przydawało ostrości doznaniom zmysłowym, ale koniec końców był to jednak grzech. W 1946 r. dr Kinsey publikuje swój słynny raport, podkładając ładunek wybuchowy pod dotychczasowe tabu i powodując powstanie szczeliny, w którą zaczęli się wślizgać inni badacze, a wśród nich William Masters i Virginia Johnson — autorzy pracy pt. „Reakcje seksualne”. Środki masowego przekazu rzucają się na ich odkrycia. Orgazm staje się przedmiotem uwielbienia. Definiuje się normy seksualne. W latach sześćdziesiątych młodzież pragnęła obalić chylący się ku upadkowi ład społeczny wpisując swobodę seksualną na listę swych żądań. Domaga się również swobody dla mniejszości seksualnych. Trąby grzmiały tak głośno, że wreszcie mur pada: w samym sercu Nowego Jorku, w Central Parku odbywa się prawdziwy jarmark homoseksualizmu, a patroluje mu odpowiednia marka papierosów.

Do Francji ta rewolucja przysła z dziesięcioletnim opóźnieniem w stosunku do krajów anglosaskich i skandynawskich, ale za to od razu ruszyła z kopyta. Był rok 1968, rozkwitły wszelkiego rodzaju ruchy „wyzwoleńcze”. W 1972 roku założyciel „Planning familial”, dr Pierre Simon, opublikował pierwsze studium na temat postaw seksualnych Francuzów. Potem już do sprawy włączyły się rząd i parlament. Była ustawa Neuwirtha, akceptowania antykoncepcji dającej kobietom prawa do uprawiania miłości fizycznej bez ryzyka zajścia w ciążę, były spory na temat szlucznego przerywania ciąży, wprowadzono do szkół edukację seksualną. Od tej pory seks stanowi część środowiska naturalnego. Nie da się zignorować. Zawiadną ekranami, sklepami, afiszami reklamowymi. Do rubryk spraw sercowych wkładają się najbardziej wyuzdane rojenia. Seksuologia wydała walkę konkurencyjną psychoanalizie i pod pretekstem uwolnienia ludzi od zahamowań skazuje ich na przymus zamykania rozkoszy piclowej. Jak poradziły sobie z tym wszystkim?

W ostatecznym rachunku raczej niezbyt dobrze. Dość szybko okazało się, że seks w oderwaniu od uczuć nie daje w pełni zadowolenia. Do takiego wniosku dochodził np. 34-letnia Patricia, nauczycielka z Lille. Oto wyznania tego dziecka wieku, kobiety od 5 lat rozwiedzionej. „Po wielu miesiącach wahań postanowiłam sama pokierować swoim życiem uczuciowym. W tym czasie feminizm był u szczytu. Poszłam tym śladem. Wieczorami polowałam na mężczyznę w różnych odpowiednich miejscach na terenie Lille. Siadałam naprzeciw chłopaka, wlepiałam w niego oczy i mówiłam: „Chcę pójść z tobą do łóżka”. Wiele z nich umykało w popłochu. Przedtem jeszcze piłam dla kurazu. Zabierałam chłopaka do siebie, a na drugi

dzień wyrzucałam go. Pewnego dnia miałam już tego dość. Dałam sobie spokój. Teraz podobają mi się bardziej skomplikowane stosunki miłosne. Kiedy poznałam Christiana, nie zgodziłam się pójść z nim zaraz do łóżka. Związałam z tym. Przywiązał się do mnie. Nasz stosunek jest bardzo burzliwy. Ciągłe się rozstajemy i znów godzimy. Jest to wspaniałe”.

Ekstrawagancje Patricii trwały pięć lat. Z różnych głosów wynika, że jest to czas wystarczający, aby wyczerpać wszelką radość z mechanicznych, nie uporządkowanych stosunków seksualnych. W przypadku 37-letniej obecnie pracownicy naukowej, Muriel, okres lubowania się seksem trwał pięć lat. Mieszkała z mężczyzną, urodziła syna, pobrali się, co było — jak twierdzi — błędem. Dwa lata później wzięła sobie kochanka, potem dwóch, potem trzech, co zresztą ukrywała przed tym „głównym” kochankiem, ale nie przed mężem, który sam też postępował podobnie. Miłość we troje, we czworo, kobiety z kobietami, mężczyźni z mężczyznami, latem specjalne obozowisko... Wreszcie rozwód i odkrycie, że jest spragniona czułości. Poszukiwanie mężczyzny, który wreszcie zaangażuje ją uczuciowo.

Zwrot dokonuje się około roku 1979. W tym czasie rewolucja wyżywała się swych skrajności. Wywołana nią ekscytacja opada, stłumiona przez obfitość, usmiercona przez stłumienie uciech cielesnych, przyprawiając ich uczestników o utratę tchu. Odpływ zabral ze sobą szarlatanów seksuologii i biznesmenów „przemysłu porno”. W 1974 roku odbył się w Paryżu pierwszy kongres seksuologów. Trzy lata później ordynowało oficjalnie 600, w tym wielu dorobkiewiczów, którzy szybko musieli się wycofać. Obecnie seksuologów jest dziesięciokrotnie mniej. Jeszcze większa hekatomba nastąpiła w przemyśle porno: z 200 firm, które działały na tym rynku w 1972 roku, pozostało już nie więcej niż 10 w trzech sektorach produkcji (film, wydawnictwa, sprzedaż wysoko). Jeśli chodzi o sex-shopy, to z trudem doliczyć się ich można 250, podczas gdy w 1975 r. było ponad 400.

Równocześnie dziennikarze i psycholodzy odnotowują uspokojenie umysłów. Odpowiednie rubryki w pismach otrzymują znacznie mniej listów, przy czym ci, którzy piszą, nie tyle zwierają się ze swych kłopotów, ile po prostu proszą o adres seksuologa. Marie-France Blain z francuskiego stowarzyszenia poradnictwa małżeńskiego stwierdza, że coraz rzadziej konsultowani przez nią pacjenci przychodzą głównie po to, aby przedstawić pogmatwania spowodowane przez dręczące ich opory i przymusy. Objawy te świadczą — jej zdaniem — o sukcesie ruchu wyzwolenia seksualnego, który początkowo ograniczał się do awangardy, a następnie zdobył wpływ we wszystkich warstwach społecznych.

A oto, co opowiada pewna lekarka — psycholog szkolny w Paryżu. Czuwała ona nad stanem 10-letniego dziecka, które wyraźnie zdradzało zakłócenia psychiczne spowodowane złą sytuacją w rodzinie. Po pewnym czasie lekarka stwierdziła poprawę stanu dziecka, poprosiła więc do siebie matkę, aby jej o tym powiedzieć. „Tak, rzeczywiście między mną a mężem były nieporozumienia — oświadczyła matka — sie rozwiązałyśmy ten problem, po prostu oboje zmieniliśmy partnerów seksualnych”. A więc bez żadnych zahamowań stosuje się teraz takie remedium na apatię seksualną. I jeszcze jeden dowód panującej tolerancji, sygnalizowany przez wspomnianą już Marie-France Blain: zdrada małżeńska bynajmniej

nie zawsze pociąga za sobą zerwanie więzi. „Dawniej był to dramat, który pociągał za sobą sankcje. Dziś analizuje się spokojnie sytuację, wykrywa przyczyny niezgody, szuka sposobów zaradzenia złu”. Tak więc koncepcja seksualizmu elastyczniła się, a zawarty w niej liberalizm zadomowił się w sferze obyczajowości”.

Po wyeliminowaniu pewnych metod, zakrawających na numery cyrkowe lub pułapki dla naiwniaków, seksuologia odzyskuje szacowność naukową. Zaś pornografia nabiera normalnych wymiarów handlowych, mając stałą klientelę męską i damską. Kobiety stanowią 20 proc. nabywców pikantnych dzieł, rozpoznanych przez czasopismo Concorde — największe tego typu we Francji. „Obecnie — stwierdza dyrektor wydawnictwa — powieść porno jest bardziej podniecająca, ale już nikt nie szokuje”.

Dziś wszystko, co wiąże się z aktem piclowym, to już sprawa banalna. Jednakże ta banalizacja powoduje pewne niedomogi, podobnie jak kiedyś powodowały je zakazy. Ma posmak popołu. To prawda, że z tej rewolucji wychodzimy wzbogaceni. Wyzwoliła ona kobiety i oświeciła mężczyzn w kwestiach rozkoszy fizycznej. Dowiedzieliśmy się, że życie seksualne jest czynnikiem równowagi i że nie kończy się ono z wkroczeniem w jesień życia. Rewolucja seksualna wyzwoliła z więzów nasze słownictwo i w pewnym sensie ułatwiła edukację dzieci. Pod jej rządami wyżyliśmy się głupiej wstydlivosti. Ale przecież oczekiwaliśmy czegoś znacznie większego niż to spoufalanie się z własnym ciałem. Halaśliwi prorocy rewolucji zapowiadali nadejście szczęścia i łatwej harmonii. A gdzie jest to szczęście?

W ciągu mniej niż pięciu lat wymażaliśmy z pamięci trzy wieki chrześcijańskich rygorów, łacińskiej wstydlivosti i moralności mieszczańskiej. Ta śmiałość przynosi nam korzyści. Jednakże wskutek przzerwania tamy woda zatopia niektóre ogrody. Szkody byłyby mniejsze, gdyby ta rewolucja nie zatoczyła koła i sama nie zrodziła nowych dogmatów. To jest jej największy błąd. Pierwszym z tych dogmatów, wyzywających mężczyzn do zapewnienia kobietom zaspokojenia seksualnego, a kobiety — do przeżywania momentu rozkoszy piclowej, jest „obowiązek orgazmu” jako wskaźnika zdrowia seksualnego.

Z tej podstawowej zasady wypływa logiczna cała seria nakazów: należy mieć liczne stosunki miłosne, nie ukrywać ich, wykluczyć zazdrość uznana za mieszczańską i śmieszna, być niezależnym i oddawać się miłości w imię swobody i odrzucania przeszarżowanych wzorów. Wspomniana już Marie-France Blain miała możliwość w latach 1975—1978 ocenić następstwa krytycznego postuśnienia tym zasadom. Widzia więc, jak mówi, „dziewczyny w wieku 25—30 lat, sfrustrowane tym, że nie wolno im kończyć się z miłości, popadające często w oziębłość, a najczęściej — w depresję. Jeśli chodzi o chłopców, to zmuszeni do sprośności wymaganom swych partnerów, popadają w stan prawdziwego udrczenia”. Takie porażki prowadzą aż do całkowitej utraty pociągu seksualnego. Jeśli wierzyć sondażom przeprowadzonym w USA przez pismo „Psychology Today”, brak pragnień seksualnych osiągnął już zdumiewające rozmiary: występuje u 28 proc. mężczyzn i 40 proc. kobiet.

W ostatecznym rachunku mężczyźni i kobiety wyrzadzili sobie nawzajem krzywdę, raniąc się psychicznie i powodując uszkodzenia fizyczne przez upowszechnianie nowych rodzajów schorzeń. Nic więc dziwnego, że odczuwają potrzebę odpoczynku. Dwa występujące niewątpliwie zjawiska — rezygnowanie z pigułki i powrót do pewnych form czystości seksualnej — są chyba wyrazem tej właśnie potrzeby. Wyrażają także pragnienie przeżywania romansu, uwodzenia, namiętności. Ten romantyzm nie oznacza odrzucenia całego seksualizmu, nie oznacza „końca seksu”, którego podzwonne ogłosił w ubiegłym roku amerykański miesięcznik „Esquire”. To nie to. To raczej Werther i Charlotte kochający się w bramie podczas burzliwej nocy z uczuciem, że czynią coś wzniosłego.

[„LE POINT”]

